

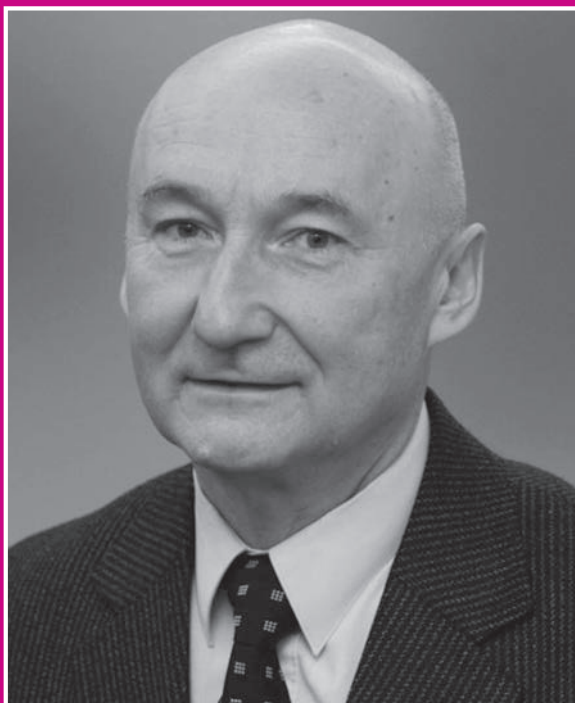
# RES HUMANA

Humanizm  
Racjonalizm  
Kultura świecka

4/131

2014 r.

DWUMIESIĘCZNIK • ISSN 0867-847X Indeks 33426X • Numer 4 (131) 2014 Rok wyd. XXII • Cena 7,00 zł (w tym 5% VAT)



**Profesor  
Janusz ADAMOWSKI**

**o polityzacji mediów  
i mediatyzacji polityki**

czytaj s. 10

## KOMENTARZE

### Pożegnanie Wojciecha Jaruzelskiego

- o wizycie prezydenta Baracka Obamy w Polsce
- o aferze podsłuchowej
- o kłopotach z klauzulą sumienia
- o potrzebie alertu ekologicznego w Rybniku

### III RP: NARODZINY, ROZWÓJ, DYLEMATY

Janusz REYKOWSKI o złożonych drogach do III RP

Janusz ADAMOWSKI o stanie polskich mediów

### ŚWIADECTWA

Wacław SADKOWSKI o dziele Tadeusza Różewicza

Rafał SKĄPSKI o Bogdanie Suchodolskim

Czesław MATUSEWICZ

Czym są nasze sny?

### XII ZJAZD KRAJOWY TKŚ

*Suplement*

Dokumenty i materiały Zjazdu

Ponadto teksty Marii SZYSZKOWSKIEJ, Eugeniusza KABATCA, Wacława SADKOWSKIEGO, Jacka SYSKIEGO oraz recenzje i kronika

# Spis treści

## FAKTY • WYDARZENIA • OPINIE

ŻEGNAMY WOJCIECHA  
JARUZELSKIEGO 1923–2014/1  
Przemówienie Aleksandra Kwaśniewskiego  
na pogrzebie Wojciecha Jaruzelskiego/1  
Daniel S. ZBYTEK  
25. rocznica III RP z udziałem prezydenta  
Baracka Obamy/2  
Zdzisław SŁOWIK  
Wobec przestępczej afery podsłuchowej/3  
Wacława MIELEWCZYK  
Kłopoty z klauzulą sumienia/4  
Zofia Helena HUEBNER  
Nie krzepiące refleksje z Rybnika/5

## III RP: NARODZINY, ROZWÓJ, DYLEMATY

Janusz REYKOWSKI  
POLSKA 1989: przełom zrodzony z ducha  
wspólnej odpowiedzialności/7  
POLITYZACJA MEDIÓW I MEDIATYZACJA  
POLITYKI  
Z profesorem Januszem ADAMOWSKIM  
rozmawia Wiesław ŁUKA/10

## ŚWIADECTWA

Wacław SADKOWSKI  
Był równy wieszczom  
Tadeusz Różewicz (1921–2014)/14  
Rafał SKĄPSKI  
Bogdan Suchodolski  
w Narodowej Radzie Kultury/17  
Zdzisław SŁOWIK  
Nadzieja przekraczająca los/20  
Wacława MIELEWCZYK  
Świadectwo mądrej pamięci/22

## LUZKIE SPRAWY

Czesław MATUSEWICZ  
MARZENIA SENNE: przesłanie boskie  
czy obrazy dnia?/25

## FORUM FILOZOFICZNO-LITERACKIE

Maria SZYSZKOWSKA  
Ideały/30  
Eugeniusz KABATC  
Wyłamane drzwi wolności/32  
Wacław SADKOWSKI  
Zanim glob ziemski zmałał/33

## WŚRÓD KSIĄŻEK

Radosław S. CZARNECKI  
Powrót Boga?/35  
Uri HUPPERT  
Czy znacie rabina Rabkina?/36

## W CZASOPISMACH

Wybór i opracowanie  
Ksawery S. PIWOCKI/38

## PAMIĘCI ZMARŁYCH

Janusz SZTUMSKI  
Wspomnienie o Stanisławie Kryśkowie/40

## KRONIKA

Deklaracja w obronie demokracji przed  
postępującą klerykalizacją Polski/III s. okł.  
Felieton Jacka SYSKIEGO III i IV s. okładki

## XII ZJAZD KRAJOWY TKŚ

Suplement – Dokumenty i materiały Zjazdu

---

**REDAKCJA:** Mariusz AGNOSIEWICZ, Zdzisław CACKOWSKI, Marek JAWORSKI, Władysław LORANC, Jerzy ŁADYKA, Wacława MIELEWCZYK – sekretarz redakcji, Lech M. NIJAKOWSKI, Wacław SADKOWSKI – z-ca redaktora naczelnego, Zdzisław SŁOWIK – redaktor naczelny, Dionizy TANALSKI, Zbigniew WOJTKOWIAK, Daniel S. ZBYTEK.

**ADRES REDAKCJI:** 00-553 Warszawa, ul. Koszykowa 24, tel. 625-44-69; tel. 605-101-072.

**E-mail:** reshumana@tlen.pl

**WYDAWCA:** Rada Krajowa Towarzystwa Kultury Świeckiej im. Tadeusza Kotarbińskiego.  
www.kulturaswiecka.pl

Druk: Drukarnia ACAD w Józefowie

# FAKTY WYDARZENIA OPINIE



## ŻEGNAMY WOJCIECHA JARUZELSKIEGO 1923–2014

Z głębokim żalem żegnamy Wojciecha JARUZELSKIEGO – żołnierza, męża stanu, prezydenta Rzeczypospolitej w latach jej ustrojowego przełomu.

Pozostanie z nami pamięcią szczególną, jako ten, z którego imieniem łączą się długie lata najnowszych polskich dziejów. W tych dziejach były dni pełne dramatyzmu i nadziei, czas roku 1981 i roku 1989, były Jego tyle roztropne co odważne decyzje, dzięki którym Polska przeszła pokojową drogą do wolności, suwerenności i demokratycznego ładu.

To bezcenne dzieło, które – wbrew wszelkim

próbom jego zakwestionowania – wpisuje się na karty sukcesu polskiego losu.

Dziękujemy za to dzieło.

Cześć Jego pamięci!

Towarzystwo Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego Rada Krajowa  
Redakcja RES HUMANA

## „Wojciechu! Żołnierzu! Spocznij! Twoja służba skończona. A my – bacność!”.

Przemówienie Aleksandra Kwaśniewskiego na pogrzebie Wojciecha Jaruzelskiego

Panie prezydencie, szanowny generale, drogi Wojciechu! Jesteśmy tu razem w twojej ostatniej drodze, twoi towarzysze broni z frontów II Wojny Światowej, twoi podkomendni z Wojska Polskiego, twoi współpracownicy na niwie rządowej, twoi współtowarzysze z Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Są też twoi dawni przeciwnicy, którzy podjęli wspólny trud polskiej przemiany. Są twoi przyjaciele, są twoi najbliżsi i są setki ludzi, którzy nawet jeśli cię nie znali to odczuwają wdzięczność i potrzebę być tu i teraz.

Żegnamy cię Wojciechu! Żegnamy człowieka szczególnej epoki, naznaczonej tragedią, dramatem, poszukiwaniem sensu i nadziei. Żegnamy żołnierza, który służył Polsce taką, jaką była nie odmawiając ani poświęcenia, ani krwi. Żegnamy dowódcę, który troszczył się o Wojsko Polskie, o swoich żołnierzy aby zdolni byli zapewnić nam bezpieczeństwo i godnie kontynuować tradycje polskiej armii. Żegnamy polityka, który w najtrudniejszym czasie podjął się odpowiedzialności w stanie kryzysu i ze szczerem przekonaniem wybrał mniejsze zło chroniąc nas przed obcą interwencją albo domową bratobójczą konfrontacją.

Żegnamy męża stanu, który potrafił przejść od dyktatury do dialogu, do Okrągłego Stołu i pokojowej transformacji. Żegnamy prezydenta III RP wspierającego lojalnie reformatorski wysiłek rządu Tadeusza Mazowieckiego i ówczesnego parlamentu. Żegnamy Wojciecha Jaruzelskiego, jednego z najwybitniejszych polityków drugiej połowy XX wieku, człowieka skromnego i całkowicie oddanemu sprawom Polski, patriotę najwyższej próby. Nic mu nie zostało oszczędzone, stracony dom rodzinny, Syberia i katorżnicza praca, front, krew i łzy, polityczna odpowiedzialność i ryzyko, porażki, niewdzięczność, ataki, procesy, choroby i cierpienia. I nawet dziś, te krzyki wydobywające się z serc, które nie mają w nich miłosierdzia, a często tylko Boga na ustach.

Niech drogi Wojciechu zadośćuczynieniem za to wszystko będzie świadomość, że Polska jest niepodległa, bezpieczna, że dobrze się rozwija, że byłeś współarchitektem tego dzieła, które dziś czcimy na 25-lecie polskiej transformacji. Że miliony ludzi wyrażają wobec ciebie szacunek i wdzięczność, że nie da się wykreślić twojego nazwiska z polskiej historii.

Drogi generale, drogi Wojciechu! Zawsze twemu sercu najbliższe było określenie „żołnierz”. Żegnamy więc ciebie – żołnierzu! Żołnierzu, który wytrwale, dzielnie i wiernie służyłeś Polsce. Żegnamy cię żołnierzu i dziękujemy za wszystko. Dobrze zasłużyłeś się ojczyźnie.

Wojciechu! Żołnierzu! Spocznij! Twoja służba skończona. A my – baczność! Walka o dobre imię Wojciecha Jaruzelskiego trwa. Cześć twojej pamięci.

Za PAP

---

## 25.lecie III RP z udziałem prezydenta Baracka Obamy

---

Trzydniowa wizyta prezydenta Baracka Obamy uświetniła obchody 25 lecia pierwszych, częściowo wolnych wyborów w Polsce, które formalnie zakończyły okres władzy PRL w Polsce. Wizyta miała na celu nie tylko uświadomić światu, że przemiany demokratyczne, wzorem Polski, winny mieć charakter pokojowy, ale także podkreślić zaangażowanie USA w Europie Środkowej i Wschodniej wobec zagrożeń, jakie stwarza dla pokoju sytuacja na Ukrainie. W tym kontekście wypowiedzi Baracka Obamy, że Polska nie będzie, jak to miało miejsce w 1939 roku, osamotniona wobec obcej agresji zostało przyjęte nad Wisłą z entuzjazmem, tym bardziej, że mamy świadomość, że te słowa nie były w gruncie rzeczy skierowane do polskiego społeczeństwa, ale do obecnych przywódców Rosji.

Retoryka uroczystej wizyty nie powinna nam jednak przesłaniać realiów polityki globalnej, jaką realizują Stany Zjednoczone.

Założenia swojej polityki zagranicznej przez następną dwa lata, tj. do końca swej prezydenckiej kadencji, przedłożył Barack Obama w przemówieniu 28 maja 2014, wygłoszonym do absolwentów Akademii Wojskowej w West Point, będącej matczynikiem kadry dowódczej amerykańskiej armii.

To, co zwraca uwagę, to fakt, że Obama w swym przemówieniu poświęcił równo mało uwagi Europie, co Azji, co szczególnie w tym drugim przypadku, wobec głoszonych przez Waszyngton haseł o „przekierowaniu” głównego obszaru zainteresowań USA na kraje basenu Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, świadczy, że ten priorytet ma przede wszystkim obecnie znaczenie głównie ekonomiczne, a nie polityczne. Sytuacja na Ukrainie, Bliskim Wschodzie niewątpliwie zmieniła akcenty obecnego politycznego zaangażowania USA, ale, tylko czasowo. Europa nie jest już głównym partnerem Waszyngtonu, tylko jednym z wielu.

Zasadniczy nacisk Prezydent położył na walkę z terrorem, ale nie na drodze bezpośrednich militarnych interwencji, jak to miało miejsce w Afganistanie i Iraku, ale poprzez wielostronną współpracę z organizacjami międzynarodowymi i krajami, które są obiektem działań terrorystów. To położenie nacisku na współdziałania międzynarodowe, pośrednie między izolacjonizmem a interwencjonizmem, określane, jako „Doktryna Obamy”, ma daleko idące konsekwencje dla sojuszników USA, także Polski.

Obama nie wyklucza militarnego zaangażowania USA, ale tylko w wyjątkowych przypadkach, gdyby rozwój wypadków zagroził „istotnym” interesom Stanów Zjednoczonych. W tej

sytuacji kraje, które stoją w obliczu zagrożenia rozwojem niebezpiecznych dla nich konfliktów winny samodzielnie podjąć się ich rozwiązywania w ramach wielostronnej współpracy, mogąc liczyć na wsparcie USA, finansowe, organizacyjne, wywiadowcze, ale nie bezpośrednio wojskowe.

Obama podkreśla, także w swoim warszawskim przemówieniu, konieczność większego zaangażowania krajów demokratycznych w stabilizację pokoju na świecie. To wezwanie dotyczy przede wszystkim krajów Unii Europejskiej, obszaru o potencjale ekonomicznym i ludnościowym większym niż Ameryka Północna, który od 1945 roku korzystał ze swoistego parasola ochronnego USA. W zakresie bezpieczeństwa „Parasol” jest demontowany – Waszyngton wycofuje stopniowo swoje wojska z Europy, uznając, że to Europejczycy sami muszą zadbać o swoje bezpieczeństwo.

Kolejna sprawa, która bulwersowała europejską opinię publiczną i była bardzo nagłaśniana przez media, głównie Niemiec i Rosji, dotyczących ujawnionego przez Edwarda Snowdena faktu podsłuchiwania rozmów z telefonów mobilnych na całym świecie przez służby wywiadowcze USA. Obama stwierdził, że zostaną „wprowadzone nowe ograniczenia, jak są gromadzone i używane informacje wywiadowcze”. Czyli podsłuchy będą, będą tylko lepiej kontrolowane przez instytucje publiczne: kto i do jakich celów je wykorzystuje. Takie ustawodawstwo w Polsce też by się przydało.

W Polsce wizyta prezydenta Obamy wiąże się jeszcze z obietnicą wsparcia tzw. Europejskiej Inicjatywy Bezpieczeństwa kwotą jednego miliarda dolarów. Po pierwsze, Prezydent musi wystąpić, a potem uzyskać zgodę Kongresu, zdominowanego przez opozycyjną Partię Republikańską, na wydatkowanie tej kwoty, a po drugie, nie jest to wysoka kwota, biorąc pod uwagę koszty współczesnego uzbrojenia. USA na modernizację armii afgańskiej przeznaczają siedmiokrotnie więcej.

**Daniel S. ZBYTEK**

---

## **Wobec przestępczej afery podsłuchowej**

---

Z trzech elementów tej afery, która skupiła uwagę opinii publicznej i władz dwa tygodnie drugiej połowy czerwca i która nadal trwa, wiadomo najlepiej o tych, których nagrywano; w znacznym stopniu o tych, którzy nagrywali, i najmniej – choć to najważniejsze – o ich mocodawcach, motywach ich przestępczej inicjatywy.

W tej perspektywie widzimy najpierw nagrywane osoby, pełniące istotnie ważne funkcje w rządzie III RP: z nierozsądną niefrasobliwością korzystali oni z lokali restauracyjnych, które najmniej nadają na ich spotkania, chyba tylko w celu ujawnienia swojego, że tak powiemy, językowego relaksu. Bowiem z treści tych rozmów nie wynika w istocie nic co by naruszało interes czy bezpieczeństwo państwa, na co wskazują niezależni obserwatorzy wydarzeń. Mimo to, a może właśnie dlatego rozmowy podsłuchane mają sens głównie spektakularny, a nie merytoryczny.

Nagrywający z kolei to osoby zdemoralizowane, niestety, wykonywanym zawodem, lecz zarazem mający dostęp do wielu ważnych osób z różnych sfer i w związku z tym przekonani o wadze swoich możliwości i niemniej – własnej bezkarności. Zachęcało to, jak widać, do działań przestępczych za większy zapewne niż zwyczajowy napiwek.

I są w końcu ci, którzy pociągali w tej aferze za sznurki. Z dotychczasowych ustaleń, dostępnych opinii publicznej z informacji prokuratury i służb specjalnych widać, a wolno przypuszczać w tej mierze wiele niespodzianek, że mamy do czynienia z wieloma motywami ich działań. Mogą być bardzo powikłane, ale też bardzo proste, a nawet banalne: oto ludzie biznesu zagrożeni w swoich interesach działaniami władz, chcą tym władzom zakłócić ich ruchy i życie. To klasyczny konflikt interesów, który nieustannie trwa od momentu uznania przez państwo istnienia wolnego rynku.

Ale trzeba też powiedzieć, że to tyle banalne, co możliwe motywy przyniosły nieoczekiwany efekt: skłoniły najwyższych przedstawicieli państwa do formułowania wysoce impulsywnych

sugestii o zamachu stanu, potrzebie dymisji rządu czy przedterminowych wyborach; skłoniły też wszystkie w istocie media do historycznych reakcji z wielką szkodą dla społeczeństwa, któremu powinny roztropnie służyć, a tygodnik „Wprost” przekroczył próg godności, już wcześniej przekraczany, współuczestnicząc teraz w przestępczym procederze pozyskania i upublicznienia podsłuchów.

Z pewnością cała afery znajdzie swój epilog w stosownych decyzjach władz państwowych i na wokandach sądowych.

Ale w ocenie tych wydarzeń, które jakby celowo chciały przysłonić wielki sukces Polski związany z obchodami jubileuszu 25. lecia RP, nie może zabraknąć refleksji ogólniejszej. W jej bowiem perspektywie ujawnia się słabość wielu instytucji naszego państwa. Debata na temat tej afery w Sejmie tę słabość ukazała w postaci drastycznej: sprawa, która powinna łączyć, była okazją do kolejnej wojny sejmowych frakcji. To wszystko dobrze widzą różni nosiciele zła, i z tych obserwacji, a także z przestępczych podsłuchów, coraz bardziej zuchwale czerpią siły do destrukcyjnych działań.

Ostatnie wydarzenia każą też, nie po raz pierwszy zresztą, spojrzeć na rolę mediów w demokratycznym państwie prawa, mediów coraz bardziej skomercjalizowanych i mocno zideologizowanych. Ten głęboko przeobrażony krajobraz mediów, co widać coraz wyraźniej z rosnącym niepokojem, stawia na porządku dnia kwestię aktualności powtarzanego od lat poglądu o ich roli jako czwartej władzy w państwie. Skłania to także do poważnego namysłu nad granicami tajemnicy dziennikarskiej, w sytuacji, kiedy może być ona wykorzystywana do celów niezgodnych z prawem czy dobrem państwa. Współudział tygodnika „Wprost” w aferze podsłuchowej czyni tę kwestię szczególnie aktualną. Tekst prof. Marcina Króla, znanego filozofa społecznego i redaktora prestiżowego czasopisma, który sygnalizujemy na dalszych stronach naszego czasopisma, wnikliwie ukazuje wagę problematyki i konieczność spojrzenia na świat mediów bez żadnej taryfy ulgowej.

Pozostaje jeszcze jedna rzecz wielkiej społecznej wagi, którą ukazała afery podsłuchowa: to, mówiąc już jak najkrócej, obniżenie i tak już niskiego stopnia społecznego zaufania – pomiędzy ludźmi i wobec władz publicznych. To strata szczególnie bolesna dla systemu demokratycznego, jego fundamentu.

Z tego punktu widzenia afery podsłuchowa, do końca wyjaśniona, powinna być dla wszystkich dobrze Polsce życzących, gorzką lekcją, którą warto odrobić z myślą o odbudowie tego fundamentu.

**Zdzisław SŁOWIK**

---

## **Kłopoty z klauzulą sumienia**

---

Prokreacja, aborcja, in vitro, eutanazja, wreszcie klauzula sumienia – słowa znane wcześniej światu medycyny, może i filozofom – opuściły teraz zacisza gabinetów i przekształciły w słowa, które w życie społeczne wniosły kolejny ładunek paliwa podpalającego polskie piekło. Głośne *Piekło kobiet* Boya-Żeleńskiego nie tylko ukazuje jego trwanie, lecz czyni go dziś jeszcze bardziej dramatycznie widocznym.

Oto dr Wanda Półtawska, z wykształcenia lekarz medycyny, osoba głęboko wierząca, a zarazem głośna wieloletnią obecnością w kręgu osób najbliższych świętemu Janowi Pawłowi II, stała się autorką i promotorką „Deklaracji wiary lekarzy katolickich i studentów medycyny w przedmiocie płciowości i płodności ludzkiej”, w pokorze przyjętej w maju br. w maryjnym sanktuarium częstochowskim, co nadało tej deklaracji rangę dokumentu oficjalnie uznanego przez polski Kościół, dokumentu – powiedzmy od razu – nie sprzyjającego budowaniu porozumienia czy społecznego ładu, lecz wnoszącego w ten ład element kolejnego sporu.

Spór dotyczy kwestii istotnej: stosunku „prawa boskiego” do prawa stanowionego, sporu przed wiekami rozpalającego stopy inkwizycji, lecz sporu, który z biegiem lat stał się w zachod-

nioeuropejskiej kulturze i religijności sporem tyle anachronicznym co wygasłym. Ale w Polsce musi być inaczej. Co więcej: tutaj „prawo boskie” zapisane w Biblii ma być nie tylko nadrzędne wobec prawa stanowionego przez ludzi zorganizowanych w strukturze demokratycznego państwa prawa, ale ma także określać ich sumienia, określać stopień ich wolności stanowienia o sobie i ma być podstawą do przestrzegania „klauzuli sumienia”. Takie myśli słyhać ostatnio z imperatywnych słów wypowiedzianych przez czołowych polskich hierarchów, i słyhać było w czasie tegorocznych obchodów święta Bożego Ciała.

Nie dociekając na tym miejscu wielu, poza doktrynalnymi, powodów zaangażowania się polskiego Kościoła w roli swoistego adwokata części polskich lekarzy, którzy podpisali wspomnianą „Deklarację wiary” wraz z zawartą w niej osobliwą interpretacją pojęcia klauzuli sumienia, nie sposób nie zauważyć, że Kościół polski staje niestety, nie po raz pierwszy zresztą, w krucjacie sprzeciwu wobec istniejącego w kraju porządku prawnego, co więcej – kwestionuje ratyfikowaną przez Polskę Europejską Konwencję Praw Człowieka. Chodzi tutaj, jak podkreśla się w Stanowisku Komitetu Bioetyki PAN, „o przypadki odmowy wykonywania przez lekarzy legalnych i uzasadnionych medycznie świadczeń zdrowotnych, przy czym najczęściej sprawy te dotyczą procedur z zakresu szeroko rozumianej medycyny reprodukcyjnej – diagnostyki prenatalnej i przerywania ciąży”. Nadto Komitet zalecił władzom państwowym wprowadzenie odpowiednich regulacji uniemożliwiających lekarzom nadużywania klauzuli sumienia w celach niezgodnych w istniejącym prawem. Rażącem przykładem takiego nadużycia było, opisane po wielokroć w mediach, zachowanie utytułowanego dyrektora jednego z warszawskich szpitali, sygnatariusza „Deklaracji wiary”, który rolę strażnika prawa wcielił w rolę katolickiego inkwizytora.

W tej perspektywie jest wielkim szczęściem nas wszystkich, że w tym nie budującym optymizmu klimacie, dominuje – mimo wszystko – rozsądek, umiar i szacunek dla prawdy i prawa. Tak wyraża go dr n. med. Grzegorz Południewski, specjalista ginekologii i położnictwa: „Pacjentka, przychodząc do gabinetu, nie może się zastanawiać, jakie przekonania religijne ma lekarz. Ona ma przychodzić do lekarza profesjonalisty, który postępuje zgodnie z najnowocześniejszymi procedurami medycznymi. I za to lekarzowi płaci Narodowy Fundusz Zdrowia, a nie za chronienie sumienia i przekonań religijnych” („Przegląd”, nr 25, 2014). A słowa te, pełne rozsądku i jasności, płynące z codziennej praktyki lekarskiej, dopełnia w tym samym numerze wymienionego czasopisma prof. Jan Woleński, wybitny filozof i prawnik, taką oto refleksją: „Klauzula sumienia funkcjonuje w ramach całości tego systemu (prawa, moralności i religii – dop. WAM) i nie może być ograniczona do jednej z jego części. «Deklaracja» redukuje sumienie lekarskie tylko do tego, czego wymaga religia w dodatku wedle dość partykularnej interpretacji jej zaleceń”.

W ten oto sposób przekonania dr Wandy Półtawskiej i jej „Deklaracja wiary”, poparta przez polski Kościół, tworzą groźną sytuację dla tych wszystkich, dla których ich najgłębsze przekonania wyrażane ludzkim sumieniem płynącym z poczucia jego wolności, w tym także jego prawo do klauzuli sumienia, poddane zostają kontroli uzurpującej sobie prawo do nieomyślnej i rozstrzygającej. Powinniśmy o tym zagrożeniu mówić głośno i powinniśmy temu zagrożeniu budować tamy sprzeciwu – w imię ludzkiej godności.

**Wacława MIELEWCZYK**

---

## **Nie krzepiące refleksje z Rybnika**

---

W wielkim zainteresowaniu przeczytałam tekst prof. Marii Szyszkowskiej zatytułowany „Niszczenie Polski” wydrukowany w „Res Humana” (nr 2, 2014) na temat bezmyślnego niszczenia drzewostanu w Nałęczowie. Rybnik, w którym mieszkam, to oczywiście nie Nałęczów. Zdrowia tu podreperować nie można, za to zachorować na tysiąc sposobów, owszem. W niektóre dni zanieczyszczenie powietrza przekracza dopuszczalne normy o 250% (to nie błąd!) Czy jest zieleń w takim miejscu wyjaśniać nie trzeba. Liczy się każde drzewo, każdy krzew,

każdy najskromniejszy badylek. W tym spragnionym roślin miście wybuchła z nieoczekiwaną mocą tajemnicza zaraza objawiająca się dendrofobią i fontannofilią. Pod topór idą wonne akacje, pachnące lipy, dorodne kasztanowce, a nawet niewielkie drzewa cieszące oko kwiatami. Padają wraz z gniazdami ptaków, których lęgów spodziewać się należy lada dzień.

Uzasadnień dla bezmyślnej wycinki jest tyle, ile zakatowanych drzew. A to konary mogą przywalić powabną panią Toyotę albo wytwornego pana Opla. Oboje wprawdzie używani, ale marka zobowiązuje. A to groźna choroba toczy drzewa skrywając swoje wraże oblicze przed okiem dociekliwych ciekawskich i tylko magistracka przenikliwość dojrzeć zdoła, co przy-czało się pod korą. Nic to, że mieszkańców budzi ryk silników i smród spalin miast śpiewu ptasząt i miodnego aromatu kwitnących drzew. Skuteczne są tylko radykalne środki - wyciąć, pociąć na kawałki, wywieść, a w miejsce drzew pobudować fontanny. Kamień i woda. Nie żeby w niewielkim miście zachwycał Salto Angel, ażurową koronką wabiły malownicze akwedukty albo melodyjnym szumem wody pieściły ucho Missisipi z Missouri, zamiast, nikomu prócz mieszkańców nieznanym, Rudy i Nacyny.

Fontanny są w Rybniku cztery, piąta w budowie, a końca nie widać. Cóż z tego, że owe wodosiki pozostają zasłonięte od listopada do kwietnia, bo w naszym klimacie fontanna jest ozdobą sezonową? Bez konsultacji z mieszkańcami, bez słowa wyjaśnienia ze strony Wydziału Ochrony Środowiska. Samorząd, pochodzący z wyboru, miast wziąć na swoje barki odpowiedzialność za ochronę zieleni oraz komfort i bezpieczeństwo obywateli, poczuł się właścicielem miasta i nuże kształtować je wedle swego uznania.

Kościół katolicki, o którym można by sądzić, że ma w swoich szeregach uduchowione damy i wrażliwych na sztukę dżentelmenów, też nie od macochy. Na naszych oczach marnieje zabytkowy zespół szpitalny z piękną kaplicą świętego Juliusza. Przez dziesiątki lat mieszkańcy pchali się do świątynki, by podziwiać tę perełkę architektury i nasycić wzrok witrażami niezwykłej urody. Dziś część kolorowych szybek wybito, kaplica opustoszała, druga kaplica, niegdyś przedpogrzebowa, wychodząca na park „Bukówka”, straszy jako ruina. Za to wokół bazyliki pod wezwaniem świętego Antoniego odbudowano od podstaw olbrzymi, szkaradny mur zasłaniający szlachetną neogotycką bryłę świątyni. Koszt tego fałszywego zabytku był na tyle imponujący, że zabrakło na stosowną kaplicę przedpogrzebową. Na tyłach kościoła, pomiędzy prezbiterium a wypieszoną plebanią,

*Dokończenie na s. 29*

## **ZAPRASZAMY DO PRENUMERATY „RES HUMANA” W 2014 ROKU**

**Rok obecny, jak i rok następny, czynimy czasem dalszego wzrostu liczby prenumeratorów naszego czasopisma. Liczebny wzrost prenumeratorów stabilizuje bowiem nakład czasopisma, racjonalizuje jego kolportaż i pozwala istotnie zmniejszyć koszty wydawnicze, a tym samym zapewnia stabilność naszego istnienia.**

**Tym się kierując zwracamy się do wszystkich dotychczasowych prenumeratorów z serdeczną prośbą o kontynuowanie prenumeraty RES HUMANA w roku następnym r., a wszystkich naszych Czytelników o podjęcie prenumeraty, o powiększenie kręgu kręgu Przyjaciół „RES HUMANA”, tych wszystkich, którym bliskie jest współuczestnictwo w poważnych rozmowach o człowieku i współczesnym świecie, podejmowanych przez wybitnych przedstawicieli polskiej nauki i kultury w duchu humanistycznych wartości świeckich i dialogu.**

**Redakcja RES HUMANA**

Prenumeratę czasopisma na cały rok, której koszt wynosi 40 zł, można najlepiej dokonać na stosownym blankiecie w formie przelewu bankowego w każdym urzędzie pocztowym na konto bankowe naszej redakcji **nr 46 1160 2202 0000 0000 5515 5146** w Banku Millennium (nasz adres: 00-553 WARSZAWA, ul. Koszykowa 24/1).

Prenumeratę RES HUMANA można też zamówić w firmie kolportażowej RUCH S.A. poprzez Internet: strona [www.prenumerata.ruch.com.pl](http://www.prenumerata.ruch.com.pl); tel. kom. 801-800-803.



# III RP: NARODZINY, ROZWÓJ, DYLEMATY

Drogi do III Rzeczypospolitej nie było jednej, choć w klimacie obchodów 25-lecia, a zwłaszcza słów wypowiedzianych z wysokich trybun jej najwyższych przedstawicieli, wynikała manichejska opowieść o straszliwej wojnie dwóch śmiertelnych przeciwników, z odmętów której, za sprawą opozycji antysystemowej, wyłoniła się nowa rzeczywistość nowej Polski.

Prof. Janusz REYKOWSKI, wybitny uczony, a zarazem jeden z architektów Okrągłego Stołu i jego aktywny uczestnik, sądzi, że niemała, choć niedoceniana dziś rolę w drodze do wolności i suwerenności Polski, odegrała ówczesna opozycja wewnątrzsystemowa, wielu ludzi tamtej władzy i wiele osób z różnych środowisk, których zazwyczaj niespektakularny trud doprowadził do ustrojowego przełomu.

Poniższy tekst Profesora, który przedrukujemy za zgodą jego Autora i redakcji „Gazety Wyborczej” (za co bardzo dziękujemy) wprowadza do rozmowy o tamtym czasie ducha równowagi w imię prawdy – wciąż żywej, choć już i historycznej.

REDAKCJA

Janusz REYKOWSKI

## POLSKA 1989: przełom zrodzony z ducha wspólnej odpowiedzialności

Zmiana systemowa, do której doszło w wyniku wyborów czerwcowych 1989 r., opisywana była jako „zrzućcie dyktatury” osiągnięte dzięki konsekwentnym działaniom sił prodemokratycznych w Polsce. Wszakże przez większą część PRL-u chyba nikt, oprócz skrajnych radykałów, nie myślał na serio o zrzuceniu dyktatury, czyli o obaleniu systemu. Natomiast zarówno na zewnątrz, jak i wewnątrz niego istniały środowiska, które dążyły do jego modyfikacji. W tym tekście mowa będzie o środowiskach wewnątrzsystemowych.

**Wewnątrz systemu można wyodrębnić co najmniej dwa typy tych środowisk.** Pierwsze to „starsi”, ci, którzy do życia publicznego wchodziłi wtedy, kiedy się on formował lub wcześniej. Ludzie ci przejęli się w jakimś stopniu ideologią odbudowy kraju i emancypacji upośledzonych warstw społeczeństwa („ludu”). Wielu z nich uznawało się za lewicowców.

Drugi typ, „młodszy”, to ci, którzy do życia publicznego wchodziłi później i kierowali się, w znacznym stopniu, motywami pragmatycznymi.

Oba środowiska traktowały PRL jako pewną, w tym punkcie historii niezbędną formę przystosowania kraju do geopolitycznej sytuacji, w jakiej się znalazł, umożliwiającego realizację ograniczonych, ale ważnych celów narodowych i społecznych.

**Z tego punktu widzenia władze PRL-u od czasu Października '56 nie były postrzegane jako wykonawcy woli moskiewskiego imperium, ale jako swego rodzaju liderzy owego procesu przystosowania, na których ciążył obowiązek tworzenia warunków materialnego i duchowego rozwoju kraju.**

Trzeba jednak zastrzec, że za owego lidera nie uważano całej władzy. Dostrzegano, że w jej szeregach jest niemało ludzi, którzy ze względu na troskę o własny polityczny interes lub ze względu

na mentalność (zwłaszcza tendencje autorytarne) w małym stopniu troszczą się o interes narodowy. Są raczej ekspozyturą obcego mocarstwa. Sądzone też, że wiele posunięć władzy owemu rozwojowi nie służy czy wręcz mu szkodzi, np. polityka późnego Go-mułka i późnego Gierka.

Opierając się na takich założeniach, uznawano, że z władzą się nie walczy, tylko negocjuje. **Przyjmowano też, że każdy na miarę swoich możliwości i odpowiedzialności ma realizować cele, które przyczyniają się do poszerzania obszaru swobody, zwiększania racjonalności w działaniach instytucji, chronienia tych, którzy w gorsecie tworzonym przez system źle się mieszczą.**

Tych, którzy tak pojmowali swoją rolę, spotkać można było w różnych ogniwach systemu, nawet najbardziej „wrażliwych”. Karol Modzelewski w książce „Zajeżdźmy kobyłę historii” opisuje takich ludzi, z którymi zetknął się w aparacie sprawiedliwości i więziennictwie. Byli oni obecni także w strukturach, które do systemu nie należały, ale musiały się z nim liczyć, np. w „Tygodniku Powszechnym”.

• • •

**Ideologia korygowania systemu przez negocjacje, perswazję czy wykorzystywanie własnego autorytetu miała pewne szczególne uzasadnienia, by tak rzec, biograficzne.** Wynikały one z losów i doświadczeń pokolenia „starszych”. Na cztery charakterystyczne cechy tych doświadczeń chciałbym tu zwrócić uwagę

Otóż byli to ludzie, których większość miała kiedyś poczucie silnego związku z kulturą zachodnią; wierzyli w siłę i szlachetność zachodnich mocarstw. Oczekiwali, że dzięki nim właśnie nastąpi wyzwolenie Polski spod okupacji niemieckiej. Historia sprawiła im ogromny zawód. Mieli też wyraźnie w pamięci tragiczne doświadczenia wojenne, zwłaszcza klęskę powstania warszawskiego i jej skutki dla narodowej substancji. Zdawali sobie sprawę z tego, że wydarzenie to było rezultatem pewnego sposobu myślenia o polskich sprawach. Ilustracją tego sposobu myślenia może być wypowiedź gen. Okulickiego na jednej z porad przed wybuchem powstania. Miał on powiedzieć: „Podejmiemy w sercu Polski walkę z taką mocą, by wstrząsnęła opinią świata. Krew będzie się lała potokami, a mury będą się walić w gruzy. I taka walka sprawi, że opinia świata wymusi na rządach przekreślenie decyzji teherańskiej, a Rzeczpospolita ocaleje” (Jan Matłachowski, „Kulisy genezy Powstania Warszawskiego”, Londyn 1978).

Strategia oparta na tym sposobie myślenia doprowadziła do wielkiej narodowej klęski. Należało

zrobić wszystko, aby nic podobnego nie mogło się powtórzyć.

Ludzie ci mieli też w pamięci wojnę domową, która kosztowała życie wielu Polaków, a wielu innym życie złamała. Jednym z jej istotnych powodów była niemożność pogodzenia się z rzeczywistością, niezdolność do przyjęcia postawy, której ilustracją może być dialog przytoczony w książce Modzelewskiego. Odbył się on w 1945 r. między Aleksandrem Gieysztozem a Tadeuszem Manteufflem. Pierwszy powiedział o swoim zamiarze przystąpienia do komendy WiN-u, na co drugi, „niekwestionowany przywódca środowiska historyków”, oznajmił: „Teraz nie będziemy robić żadnej partyzantki, tylko uniwersytet”.

Wreszcie „starsi” krytycznie oceniali stosunki społeczne panujące w II RP. Procesy, które zachodziły w Polsce po wojnie, przyczyniały się do naprawienia wielu dawnych krzywd (choć powodowały nowe).

Omawiane tu doświadczenia wywarły wpływ na kształtowanie umysłów znacznej części owego pokolenia „starszych”. Wielu żywiło przekonanie, że nie można dopuścić do powtórzenia, w jakiegokolwiek formie, wydarzeń, które narażałyby polskie społeczeństwo na nowe ofiary. Już i tak poniosło ogromne straty wśród swych najlepszych córek i synów. Zasada politycznego realizmu stała się w tym pokoleniu ideą wiodącą.

**Opór przed „sowietyzacją” Polski mógł być skuteczny, bo wewnątrz systemu działały siły, które starały się go korygować**

W następnych generacjach raczej te traciły na znaczeniu, ale długo jeszcze miały wpływ na myślenie o polskich sprawach. Pewnie dlatego poważni krytycy systemu działający w opozycji demokratycznej wykazywali znaczny umiar w formułowaniu celów i sposobów swej działalności. Wyrażała to np. formuła Jacka Kuronia, aby zakładać komitety, zamiast je palić, a także idea samoograniczającej się rewolucji, której starało się trzymać kierownictwo „Solidarności”. Okrągły Stół był najlepszym wyrazem poszukiwania strategii zmian, które mają przekształcać system, nie doprowadzając do groźnej konfrontacji.

Ten sposób myślenia zanikł zupełnie wśród pokolenia wstępującego w życie publiczne, kiedy system PRL-u utracił niemal wszystkie te cechy, które go przez dziesięciolecia w jakimś stopniu legitymizowały, jak odbudowa kraju, awans społeczny warstw plebejskich, uprzemysłowienie, upowszechnianie kultury. I geopolityka.

Powstanie „Solidarności”, masowego ruchu protestu, podważyło legitymizację PZPR, a stan

wojenny pokazał, że może się ona utrzymać przy władzy jedynie dzięki przemocy. Opresja polityczna i niewydolna, niedająca perspektyw dla nowych pokoleń gospodarka tworzyły podstawy buntu młodzieży przeciwko systemowi. Trudno się dziwić, że znaczna część pokolenia, które wchodziło w życie w latach 80., wyrażała poglądy radykalnie antykomunistyczne i konfrontacyjne postawy wobec niego.

Formacja „starszych”, starających się modyfikować system od wewnątrz, topniała pod wpływem niepowodzeń tej polityki. Dobitym ich przejawem były wydarzenia, które opisujemy dziś, wskazując takie ich daty jak marzec i sierpień 1968 r., grudzień 1970, czerwiec 1976, sierpień 1980, grudzień 1981.

• • •

Istniała jeszcze inna kategoria ludzi, którzy starali się modyfikować system od wewnątrz, owi wspomniani na początku „młodzi”. **Byli to nastawieni pragmatycznie fachowcy w aparacie gospodarczym i politycznym czy w mediach, którym zależało na racjonalnym i efektywnym funkcjonowaniu instytucji, z którymi się związali.** Wielu z nich ukończyło dobre uczelnie. Zastępowali odchodzącą już kadrę z pierwszego zaciągu, rekrutowaną często ze słabo wykształconych warstw plebejskich. Mogli uważać, że swój społeczny awans zawdzięczają temu właśnie systemowi. Ci „młodzi” dzięki stypendiom, a także w związku z zajmowanymi stanowiskami miewali kontakty ze światem zachodnim.

Otóż osoby te doświadczały, nieraz boleśnie, nieracjonalności i nieefektywności systemu, w którym działały. Ludzie ci przekonywali się także, iż ich sytuacja życiowa mimo posiadanych przywilejów bardzo się różni na niekorzyść od sytuacji ich odpowiedników na Zachodzie. Wielu miało poczucie, że ich indywidualne wysiłki naprawcze nie przynoszą rezultatów. Byli otwarci na poważne reformy systemu lub sami starali się je inicjować. Przykładem słynny raport trzech (Stanisława Ciośka, Władysława Pożogi i Jerzego Urbana, połowa lat 80.).

Zarówno „starsi”, jak i „młodzi” nie tworzyli organizacji ani sieci związków, choć ludzie o podobnych zapatrywaniach jakoś się rozpoznawali i współdziałali. Ale istniały też mechanizmy, dzięki którym te rozproszone środowiska mogły kierować się podobnymi celami i zasadami.

Taką integrującą rolę odgrywały pewne pisma, zwłaszcza „Polityka”. Na jej łamach artykułowane były postulaty zmian, atakowano autorytarne cechy systemu, krytykowano przejawy nieefektywności i nieracjonalności w jego funkcjonowaniu,

formułowano idee reform. Jej redaktor naczelny **Mieczysław F. Rakowski może być traktowany jako jedna z czołowych postaci środowisk nastawionych na korygowanie systemu od wewnątrz. Nic więc dziwnego, że wywoływał tak wielką niechęć w Moskwie. Innym „tępieniem” w publikacjach radzieckich i przez krajowych fundamentalistów był prof. Jerzy J. Wiatr.**

• • •

Czy ta wewnętrzny systemowa opozycja miała znaczący wpływ na system i życie kraju? Odpowiedzią może być porównanie sytuacji w Polsce z sytuacją we wszystkich innych krajach tzw. obozu socjalistycznego. Pod względem poziomu indywidualnych wolności, warunków rozwoju nauk społecznych i kultury, możliwości kontaktów ze światem zachodnim sytuacja w Polsce różniła się zasadniczo na korzyść od sytuacji krajów sąsiednich.

**Oczywiście do powstania owych różnic przyczynił się w znacznym stopniu opór społeczny przed „sowietyzacją” Polski. Ale mógł on być skuteczny dzięki temu właśnie, że wewnątrz systemu działały siły, które starały się go korygować.** W krajach, w których ich nie było, a także w Polsce stalinowskiej, opór łamany był przemocą.

**Wewnętrzny systemowa opozycja stawiała sobie znacznie bardziej ograniczone cele niż opozycja, która system kontestowała. Działacze tej ostatniej realizowali jej cele kosztem wielkich osobistych ofiar i dlatego nie można na jednej płaszczyźnie porównywać obu tych form. To przede wszystkim dzięki tej pozasystemowej, demokratycznej opozycji proces polityczny w Polsce przybrał formę radykalnej, prodemokratycznej zmiany i ostatecznie doprowadził do likwidacji systemu.**

Jednak do płynnego przebiegu tego procesu przyczynili się w niemałym stopniu ludzie, którzy starali się poprawiać system od wewnątrz. Kiedy pojawiły się szanse na radykalną zmianę, stali się wewnętrznym oparciem dla polityki porozumienia z demokratyczną opozycją i otwarcia drogi do rewolucyjnych zmian systemu.

---

**JANUSZ REYKOWSKI** – profesor psychologii społecznej, członek PAN. Przy Okrągłym Stole współprzewodniczący zespołu ds. reform politycznych ze strony rządowej.

Tekst to zmieniona wersja wystąpienia podczas sesji „Strategie wyzwolenia”, części konferencji „Polskie dylematy” zorganizowanej przez Fundację Batorego 4 marca z okazji 80. rocznicy urodzin i 10. rocznicy śmierci Jacka Kuronia.

Przedruk z „GAZETY WYBORCZEJ” z 8-9 czerwca 2014 r. Tytuł od naszej redakcji.

---

# Polityzacja mediów i mediatyzacja polityki

---

Z profesorem Januszem ADAMOWSKIM  
rozmawia Wiesław ŁUKA

**Minęło 25 lat od obrad Okrągłego Stołu. Jak Pan Profesor ocenia realizację ich efektów w sferze mediów? Co osiągnęliśmy, a co zapisujemy po stronie porażek?**

Osiągnięcia zdecydowanie przeważają nad porażkami. Wielka zdobycz, to obfitość środków przekazu, ich pluralizm własności oraz pluralizm światopoglądowy; łatwy do nich dostęp oraz – oczywiście – zniesienie cenzury. Porażki? Po ich stronie to przede wszystkim spore obniżenie wartości merytoryczno-intelektualnej środków przekazu oraz schlebianie najgorszym gustom. I jeszcze jedno: za szybko i za łatwo poddaliśmy się komercjalizacji oraz upolitycznieniu telewizji, radia i prasy.

**A jak wypadamy na tle krajów, które wyszły z tzw. Bloku Wschodniego?**

Mimo wszystko nie mamy się czego wstydzić w porównaniu z sytuacją mediów na przykład czeskich i węgierskich, nie wspominając już o krajach za wschodnią granicą. Węgry – możemy tu mówić nawet o zniszczeniu mediów publicznych w okresie transformacji. Zniszczono je ekonomicznie w procesie parcelacji, a teraz, za rządów Viktora Orbana nałożono na nie knebel nakazując głoszenie jedynie słusznych poglądów. W Republice Czech w minionym ćwierćwieczu bywało różnie – tam często władza daje mediom do zrozumienia: kto tutaj rządzi. To nie idzie w dobrą stronę. Czyli, generalnie u nas nie jest najgorzej, ale do tej beczki miodu wrzuce łyżkę dziegciu: notujemy na przykład zapaść w mediach regionalnych. Powtórzę, że cieszylibyśmy się o wiele lepszą sytuacją i większym sukcesem, gdybyśmy potrafili skorzystać z wyżej wspomnianego wzoru skandynawskiego oraz...kanadyjskiego, gdzie panuje prawie doskonały ład mediów publicznych i komercyjnych; zupełnie inny, bardziej przejrzysty niż na przykład w sąsiednich Stanach Zjednoczonych.

**Niedawno odbyły się wybory do parlamentu europejskiego, wkrótce przed nami kolejne; teraz wybuchła tzw. afera taśmowa, która może być groźna w skutkach dla państwa – czy media pomagają odnaleźć się wyborcom w tym gąszczu hasel i antyhasel, niejasnych programów jednych i ich gwałtownej dyskredytacji przez inne partie?**

Rola mediów nie jest tu jednoznaczna – z jednej strony prezentuje się pewnych kandydatów, a innych pomija. Widzimy i słyszymy festiwal nieustających obietnic i ujawnianie się nowych, dziwnych postaci, które za wszelką cenę chcą zaistnieć medialnie. W tym chaosie media wykazują za mało determinacji w odcieczaniu plew od ziaren; to dotyczy głównie mediów komercyjnych. Natomiast rola mediów publicznych powinna polegać na eksponowaniu „prawdziwych ziaren”. Brakuje mi tu precyzyjnego dziennikarstwa, które by pokazywało, że ten czy ów kandydat jest wartościowy ze swoim realistycznym programem, a ten, czy ów kompletnie przypadkowy. Przed ostatnimi wyborami do europarlamentu nie widziałem eksponowania dotychczasowych posłów z dorobkiem na forum unijnym – Danuty Hubner czy Dariusza Rosatiego. Widzę za to hucpiarzy, którzy już się dorobili w Brukseli sporych pieniędzy, a teraz chcą jeszcze większych.

**Może dziennikarze dopuszczają do głosu jak największą liczbę kandydatów, i w ogóle polityków, by się nie narazić krytykom na zarzut tłumienia wolności słowa?**

Możliwe, że tak jest. Boją się oskarżenia o stronnictwo. Choć muszą powiedzieć, że media publiczne wykazują większą wstrzemięźliwość w prezentowaniu kandydatów i starają się zachować

dziennikarski obiektywizm. Krytyczne uwagi mogą przecież dotyczyć kandydatów ze wszystkich stron, bo każda partia ma sporo brudu za paznokciami.

### **Każda ma, ale czy w równym stopniu?**

Nie, nie. Są partie prezentujące w spokojniejszej tonacji bardziej realistyczne programy. Ale są i takie, które prezentują festiwal życzeń w podniesionym tonie, bo chcą za wszelką cenę wrócić do władzy. Chcę jednak pozostać na poziomie takiej ogólnej oceny.

### **Media nie powinny spełniać żadnej władzy, a tymczasem odnoszę wrażenie, że spełniają rolę czegoś więcej niż tylko czwartej władzy – to Pana przeraża, co wyznał Pan w jednym z wywiadów. Czy nie jest utopią oczekiwanie absolutnej neutralności politycznej mediów?**

W naszych warunkach, to rzeczywiście wygląda na utopię, ale jednak podtrzymuję przekonanie, że funkcją mediów jest kontrolowanie władzy, a nie jej zastępowanie. Kontrolowanie – na ile władza spełnia oczekiwania obywateli. Tymczasem mam wrażenie, że media często ją wyprzedzają w różnego rodzaju działaniach i robią to nie zawsze rzetelnie, co oczywiście nie służy dobru publicznemu.

### **Czy mógłby Pan Profesor podać przykład?**

Nie chcę generalizować, ale widać gołym okiem, że coraz częściej i więcej jest pogoni za sensacją. Tu przykład chociażby wielomiesięcznego spektaklu medialnego z wyrodną matką Madzi z Sosnowca w roli głównej. Na szczęście jednak są jeszcze media, które starają się działać dla dobra wspólnego, jako siła wspomagająca pozytywne przemiany, nie zaś burząca pewien ład społeczny.

### **Ale jednak pojęcie czwartej władzy nie zrodziło się wczoraj i nie u nas – po raz pierwszy wypowiedział je w parlamencie angielskim jeden z posłów wskazując na galerię i dziennikarzy przysłuchujących się obradom...**

To prawda – uczynił to Edmund Burke, działacz społeczny i filozof, a miało to miejsce pod koniec XVIII wieku. Zaś niedługo potem, w tej samej Anglii, politycy zaczęli zamawiać i płacić redakcjom prasowym za odpowiednie publikacje. Próbowano tym „obłaskawić” dziennikarzy, czyli rozwijała się korupcja polityczna. Jednak już w drugiej połowie XIX wieku nakłady gazet i czasopism dość szybko zaczęły tam rosnać, pojawiły się więc pieniądze komercyjne z reklam, które mogły w dużym stopniu uniezależnić redakcje od łapówek politycznych. Wówczas to redakcje mogły powiedzieć politykom: „Dziękujemy”.

### **A teraz? I u nas?**

Widzimy, że media tradycyjne znalazły się w głębokim kryzysie – nie tylko jakościowym, ale i ekonomicznym – z powodu m.in. dramatycznego spadku nakładów oraz wzrostu kosztów wydawniczych. W związku z tym, zwłaszcza prasa papierowa, idzie na rozmaite kompromisy wykonując liczne ukłony w stronę czytelnika i telewidza mniej ambitnego intelektualnie, za interesowanego głównie sensacją polityczną i obyczajową. Niestety, każdy kryzys ekonomiczny negatywnie odbija się na wszystkich dziedzinach życia, w tym także redukuje pozycję mediów.

### **Ale nie wszędzie w Europie tak jest.**

Mnie się bardzo podobają media skandynawskie, zwłaszcza te w komponencie publicznym. Są bardzo silne, w znacznej mierze niezależne od władzy państwowej, choć funkcjonują za pieniądze podatników. Wzorcowo realizują swoją misję, czyli wspierają rozwój społeczeństwa obywatelskiego. Do tego potrzebna jest jednak odpowiednia postawa rządzących, ich mądrość i przekonanie, że tylko odpolitycznione i niezależne media mogą cieszyć się autorytetem i szacunkiem społeczeństwa. To nie jest tak, że tylko politycy zabiegają o względy mediów. Dostrzegam, wcale nie tak rzadko, że również właściciele mediów zabiegają o względy polityków. I nie dotyczy to wyłącznie mediów komercyjnych, ale także szefów mediów publicznych, różnych zresztą szczebli. Często chodzi o przedłużenie koncesji, lub zdobycie nowej; chodzi również o reklamy – nie tylko firm prywatnych, ale także spółek Skarbu Państwa, dzięki czemu można wzmocnić własne budżety.

### **Szeregowi dziennikarze, niejednokrotnie ze znacznym już dorobkiem zawodowym, również nie są w stanie powstrzymać się od jawnego w prasie czy mediach audiowizualnych demon-**

**strowania swoich poglądów politycznych, „podlizywania” się partiom, a przy tym nazywają siebie niezależnymi. Oni są niby niezależni od partii rządzących, z wielkim zaangażowaniem i tendencyjnością patrzają im na ręce, choć widać, jak bezwzględnie są zależni od partii opozycyjnych... Czyli – nie sposób wyeliminować tych wzajemnych zależności?**

To bardzo trudne w dobie polityzacji mediów i równoległej mediatyzacji polityki. Te procesy pogłębiają się na naszych oczach. Proszę zwrócić uwagę, jaki ogromny wpływ na telewidzów ma ten żółty pasek na telewizyjnym ekranie w trakcie nadawania programów informacyjnych. W mediach publicznych konieczne by było sukcesywne uniezależnianie się od sfery państwowej. Ale to wymagałoby stabilnego finansowania mediów publicznych. Szczególnie w telewizji jest to dzisiaj problem niezwykle trudny do rozwiązania w sytuacji ogromnych kosztów związanych z aktywnością nadawczą, niskiej ściągalności abonamentu, stale narastającej konkurencji oraz nadal trwającego kryzysu na rynku reklamy. Jej funkcjonowanie wymaga siedmio–ośmiokrotnie wyższych nakładów finansowych niż w np. w tzw. dużym radiu. Dlatego w tym ostatnim realizacji misji jest łatwiejsza i znacząco efektywniejsza. Widzę zatem konieczność zmiany ustawy o mediach audiowizualnych, wprowadzającej między innymi powszechną opłatę audiowizualną. Ona by w dużym stopniu pomogła rozwiązać problem niedoboru środków, finansujących działalność publicznych środków przekazu.

**Może wówczas zakończyłaby się żenująca dyskusja na temat słynnego abonamentu... Mówimy o polityzacji mediów, a inne, wielce gorszące zjawisko – łamanie zasad etycznych naszego zwodu, głównie bezstronności, dziennikarskiego obiektywizmu, rzetelności i kultury w zakresie posługiwania się językiem polskim. Zwrócił Pan na to uwagę w jednym z wywiadów, że jeśli właściciele mediów i sami dziennikarze tracą świadomość etyki mediów, to „za chwilę stworzą potwora, który ich zeżre”...**

My często operujemy szerokim pojęciem mediów, ale ich twórcami są przecież konkretni ludzie oraz towarzyszą temu konkretne zachowania. Jeżeli one są gorszące i ten proces się pogłębia, to znaczy, że jest na nie przyzwolenie społeczne. Być może, jest to również sprawa pokoleniowa – że sferę mediów w niemaleń mierze tworzą ludzie młodzi, niecierpliwi, chcący bardzo szybko dojść do dużych pieniędzy, że puszczają im czasem hamulce moralno-etyczne. Może temu sprzyja dość marna generalnie kondycja materialna tego środowiska, co skutkuje korupcją polityczną?

**Czy to się może zmienić, czy może przyjść opamiętanie?**

Nie wiem, czy to się zmieni. Wiem, że musimy do tego z uporem dążyć. Uważam, że dziennikarz powinien być relatywnie dobrze opłacany, jeśli chcemy, by był on rzetelnym człowiekiem wpływu. Tak jest w Stanach Zjednoczonych, tak jest w wielu państwach Europy Zachodniej. Przykład: w dzienniku „New York Times” pewien młody dziennikarz o nazwisku Jayson Blair wykreował sztucznego bohatera swojej publikacji, a także dopuścił się wielu plagiatów. Musiał robić to mistrzowsko, bo dostał prestiżową nagrodę Pulitzera. Ale gdy tylko wykryto oszustwo, natychmiast został wyrzucony z pracy. Ten fakt podziałał jak przestroga dla innych kolegów po fachu, albowiem dziennikarza – oszusta spotkała nie tylko kara materialna, ale także ostracyzm wielu ludzi.

**A u nas pan sobie przypomina coś podobnego?**

Trudno mi sobie to wyobrazić, choć kiedyś, w czasach PRL pamiętam dość gwałtowne rozstanie redakcji „Polityki” z dziennikarzem – oszustem. Nie tęsknię za tamtym okresem, ale dzisiaj, w warunkach wolności wypowiedzi, znam publikacje na bardzo marnym poziomie formalnym i łamiące elementarne standardy zawodowe, lecz ich autorom włos z głowy nie spadł. Ci autorzy pisali w sposób oczywisty na pewnego rodzaju zmówienie polityczne; zagrali rolę media-kilerów, zrobił się niby szum wokół sprawy, ale dość szybko sprawa ucichła.

**Ma Pan Profesor na myśli tytuły opiniotwórcze?**

To są niekiedy nawet całkiem niezłe pisma i niezłe pióra. Na pewno nie tabloidy, które mogą sobie pozwolić na więcej. Nie mogę podać tytułów i nazwisk, bo – gdy uderzymy w stół, to nożyce się odezwą. Wierzę jednak, że to schodzenie na dno upadku zawodowego i degrengolada etyczna

kiedyś się skończą. Może przemawia przede mnie idealizm, jednak wierzę, że kiedyś dziennikarstwo znowu stanie się swego rodzaju ostoją inteligencji.

### **Jak temu pomóc?**

Nie wszystkie na szczęście dobre gazety i czasopisma zniknęły. Myślę, że pozostaną one nadal na rynku jako grupa mediów opiniotwórczych (jak np. niektóre czasopisma opinii czy periodyki społeczno-kulturalne), choć teraz tracą na znaczeniu, przeżywają spadek nakładów, niebezpiecznie wpadają w objęcia komercji. Marzę, by jednak pozostały i umocniły się jako media wpływu, zresztą nie tylko na elity naszego państwa.

### **Ewidentnie negatywny wpływ na tę inteligencję ma Internet, o czym niedawno dyskutowano w trakcie konferencji naukowej w Instytucie Dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego.**

Na pewno doceniam Internet jako medium, które mocno zdemokratyzowało komunikowanie społeczne; uczyniło je rzeczywiście dwustronnym. Ale to jest także trochę wypuszczenie przysłowiowego Dżinna z butelki. Coś, co wypełzło, ujawniło liczne demony; złudne przekonanie internautów (w tym wielu zwyczajnych hejterów) o anonimowości sprzyja wzrostowi fali chamstwa, zawiści, nienawiści, podłości, nietolerancji wobec ras, inaczej wierzących, myślących, kochających, również wobec tych, którym się bardziej powiodło w warunkach demokracji i wolnego rynku.

### **Ta fala nienawiści wzbiera nie tylko w Internecie, ale także na falach eteru, na wizji i w prasie; coraz bardziej dotyka również zawodowych dziennikarzy prowadzących autorskie programy publicystyczne, głównie polityczne.**

Tak, polityka mocno „psuje” na naszych oczach – staje się dramatycznie bezwzględna, brutalna. Nawet uznani dziennikarze to wykorzystują – w swoich programach celowo sadzają naprzeciw siebie „brytanów” z rywalizujących partii, którzy skaczą sobie do gardeł. Wywoływanie przed kamerą telewizyjną lub mikrofonem kłótni, zamiast rzeczowej dyskusji jest usprawiedliwane niby wynikami jakichś badań, według których telewizzowie i radiosłuchacze to lubią.

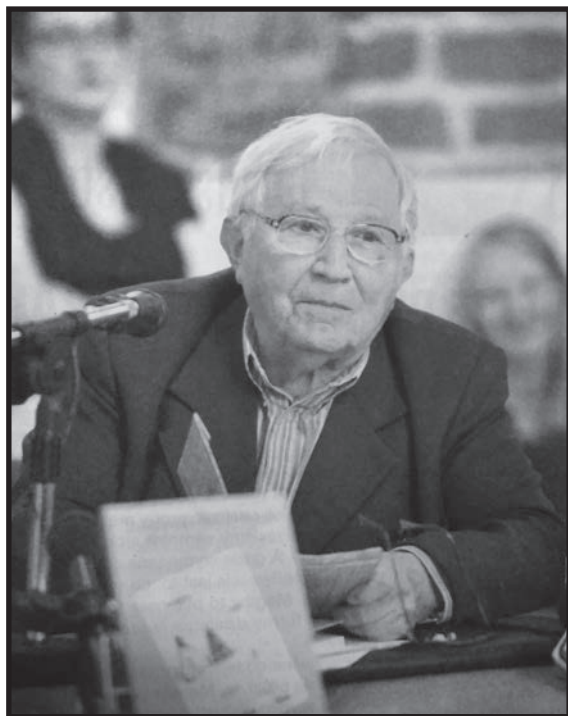
### **Za naszą wschodnią granicą wybuchł i ciągle trwa groźny dla Polski, dla Europy i świata – konflikt. Z jednej strony agresja mocarstwa, a z drugiej nadzwyczaj trudne, by nie powiedzieć beznadziejne, zmaganie się z nią przez znacznie słabsze państwo. Jak wobec tego konfliktu zachowują się polskie media?**

Moi koledzy – politolodzy i medioznawcy, którzy zajmują się Rosją, mogliby określić to zachowanie jako – generalnie – godne i racjonalne. Z drugiej jednak strony była i jest widoczna tu postawa pewnej jednostronności. Oceniam, że stanąwszy po stronie Ukrainy, należało jednak głębiej pokazywać racje drugiej strony. Wiem, że Rosja stała się agresorem de facto, ale należy więcej miejsca poświęcić dla prezentacji jej argumentów – nie tylko po to, by kogoś na siłę przekonywać, ale by zachować i umacniać autorytet mediów wolnych od tendencyjności. W kwestii zaanektowania przez Rosję Krymu media nasze przypominały zazwyczaj tylko fakt, że był on swoistą „darowizną” komunistycznego przywódcy w Moskwie, Nikity Chruszczowa (dodawano częstokroć – pijanego) z lat pięćdziesiątych ub. wieku na rzecz Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Pomijano jednak nierzadko w tej argumentacji inny fakt, że Krym od końca XVIII wieku należał do Rosji i dominująca grupa osób zamieszkujących od lat ten półwysep, to rdzenni Rosjanie. Zaznaczam, że nie jestem w tym konflikcie stronnikiem Rosji i nie próbuję się tutaj stroić w szaty jej obrońcy.

### **Dziękuję, Panie Profesorze, za rozmowę**

**Prof. dr hab. Janusz ADAMOWSKI, dziekan Wydziału Dziennikarstwa i Nauk Politycznych Uniwersytetu Warszawskiego, członek Rady Naukowej Instytutu Studiów Politycznych PAN, autor licznych publikacji na temat systemów medialnych wielu państw Europy, USA i Kanady.**

# ŚWIADECTWA



## Był równy wieszczom

## Tadeusz Różewicz (1921–2014)

Zmarły przed kilku tygodniami poeta, dramatopisarz i prozaik był i pozostanie w dziejach naszej literatury

postacią najwyższej rangi. Wniósł swą twórczością do naszej literatury wartości niedoścignione, zaskakująco odkrywczе i nowatorskie, które nie tylko otwierały drogę nowym poszukiwaniom i rozwiązaniom artystycznym, ale także otwierały nowe perspektywy widzenia i rozumienia zarówno naszej historycznej przeszłości, naszych tradycji, jak też naszego dalszego historycznego losu.

Wszedł do literatury nazajutrz po wojnie – debiutował w roku 1945 tomem wierszy i drobnych form prozatorskich *Echa leśne*, wywiedzionym niejako wprost z partyzanckiego lasu (końcówką fazę okupacji autor ich przeżył w leśnym oddziale AK). Jego wczesne utwory swym wyjawianym wprost, wolnym od wszelkiego metaforyzowania autentyzmem nie tyle uderzały, ile wręcz powalały – a tytuł zbioru był przekorną deklaracją kontestowania tradycji „opowieści łowieckich”, która w naszym piśmiennictwie przetrwała nawet jeszcze Pierwszą Wojnę Światową. W kolejnych zbiorach wierszy z drugiej połowy lat czterdziestych poprzedniego stulecia – *Niepokój* (1947) i *Czerwona rękawiczka* (1948) – wykrystalizował się w pełni swoisty język poetycki Różewicza. Dynamikę i tonację artystyczną swych utworów określił najtrafniej sam autor: artykułował je „ze ściśniętym sercem”. Dowodził nimi, że tradycyjne „poezjowanie” nie jest w stanie wyrazić bezmiaru wojennego tragizmu, a skoro mogło dojść do zamierzonego na tak katastroficzną skalę zamachu na podstawowe wartości ludzkie – dotychczasowe pojmowania poezji i ukształtowane humanistyczną tradycją techniki ekspresji artystycznej tracą rację bytu.

Pierwsze głosy w zainicjowanej przez Różewicza debacie na ten drażliwy temat wzbudziły szczerą grozę: oto na przykład pewien młody (wówczas) adept sztuki pisarskiej zaatakował katastrofizm Różewicza uznając go za wieszczbę zagłady atomowej (a działa się to w okresie, kiedy monopol na broń atomową miały Stany Zjednoczone)! Różewicz powściągnął tedy na



pewien czas swe kontestatorskie pasje, ale nie podporządkował się oficjalnemu optymizmowi historiozoficznemu, wymuszaniem na literaturze wedle recepty tzw. realizmu socjalistycznego. W drugiej połowie lat pięćdziesiątych rozpoczął się najbardziej heroiczny etap pisarskiej drogi Tadeusza Różewicza. Zainaguirował go tom zatytułowany dość wymownie: *Poemat otwarty* (1956). W dwa lata później ukazał się zbiór opatrzony tytułem *Formy* – powściągliwym, lecz wiernym zasadniczemu przesłaniu artystycznemu. Zaprezentował w nim Różewicz nowy (choć zbiory wcześniejsze zawierały akcenty zwiastujące tę odmienną od dotychczasowego „weryzmu” stylistycznego technikę poetyckiej narracji) sposób traktowania materii poetyckiej.

Za punkt wyjścia przyjął poeta całkowitą dewaluację ogólnie używanego języka narracyjnego, zarówno poezji, jak i prozy, i to nie tylko jego warstwy wartościującej, lecz także opisowej. Różewicz zastępował narracyjną płynność tego języka – pozorującą koherencję poetyckich wynurzeń – rozsypanymi zapisami spostrzeżeń, zasłyszzeń, fragmentarycznych przytoczeń z wartkich dialogów lub z narracyjnych ciągów fabularyzowanych i wywodów snutych w języku dyskursywno-logiczny. W pewnym stopniu współbrzmiała ona z równoległe prowadzonymi przez Mirona Białoszewskiego poszukiwaniami przejawów mimowolnego odsłaniania się wewnętrznych napięć, doznań i intymnych przemyśleń tego, co się zwykło określać mianem podmiotu lirycznego, a co jest przecież jednym z najcenniejszych źródeł wiedzy o człowieku. I właśnie dzięki temu wsłuchiwanie się poety w język bliźnich i wpatrywanie się w wszystkie formy zapisu wizualnego tychże ludzkich reakcji na świat (zarówno zewnętrzny jak i wewnętrzny) kolejne tomy jego wierszy (dość liczne, wymieniać będą tylko najbardziej moim zdaniem reprezentatywne dla jego poetyckich poszukiwań i jego poetyckiej misji) uniknęły ugrzęźnięcia w publicystycznym jazgocie zarówno tzw. poezji zaangażowanej, jak i „rozliczeniowej” (obie były często wzajemnym lustrzanym odbiciem). A dwa Różewiczowskie tomy o znaczeniu przełomowym w rozwijaniu i utwierdzaniu tej nowej formuły poetyckiego wypowiadania się to: *Rozmowa z księciem* (1960) i *Nic w płaszczu Prospera* (1962).

Tym razem obyło się bez fundamentalistycznych oskarżeń ideologicznych i politycznych denuncjacji. Ta faza poetyckiego weryfikowania prawdy o świecie budziła w krytyce onieśmienie bezwzględnością, z jaką poeta-weredyk obnaża wszelkie formy łudzenia czytelnika, których to form europejska tradycja obyczajowa i kulturowa wytworzyła w toku swego rozwoju nieopisane mnóstwo. Tytuł drugiego z tych tomów był chyba najsurowszym aktem oskarżenia tej kultury, wytoczonym przez poetę jej mitologii i aksjologii. Oskarżał on je o to, że pełnią funkcję monarszych szat kryjących nicość (właśnie NIC-ość), szalbierczych gier osłaniających pustkę. Przed uznaniem takiej postawy o cynizm broniła poetę jednak spiżowa czystość i godność tonu rzuconej przezeń anatemy, uwierzytelnionej autentycznym cierpieniem doznany przez oskarżyciela.

Sprzeciw wobec wszelkich paliatywów *katharsis*, które jest powołaniem sztuki godnej swego miana, objął w kolejnych zbiorach poetyckich Różewicza (takich jak *Twarz trzecia*, 1968, *Regio*, 1969, a także w tomie prozy poetyckiej *Duszyzka*, 1977 oraz w jej swoistej kontynuacji *Opowiadanie traumatyczne. Duszyzka*, 1979) całe *pnopticum* artystycznego pozerstwa, jakie się pojawiło w toku ówczesnych sporów o tzw. turpizm, czyli fascynację brzydotą i prymitywizmem. Późniejszy od tej „zadymy” literackiej (mistrzowsko skarykaturowanej przez Różewicza) tom *Płaskorzeźba* (1991) był *sui generis* konkluzją tamtych starć i sporów. Według mego przeświadczenia jest to najgłębszy pod względem intelektualnym i najdoskonalszy pod względem artystycznym zbiór poetycki w całej puściznie literackiej tego pisarza. Zawiera bowiem nie tylko jego celne sprzeciwy wobec wszelkich form skonwencjonalizowanego na różnorokie sposoby „poezjowania”, ale pozytywny (w sensie logicznym!) pokaz nowego, stworzonego przez poetę dla niego samego języka poetyckiego. Językiem tym poeta jest w stanie zarówno nazywać po imieniu uformowaną pod ciśnieniem bezprecedensowych kataklizmów współczesną rzeczywistość, jak i wyrażać doświadczenia, zarówno uświadamiane, analizowane, klasyfikowane, jak i takie, które gromadzą się w jego podświadomości a nawet w tym, co jest zupełną nieświadomością.

Rozległe *spectrum* treści zawartych w tych poetyckich komunikatach, jakie nadawał poeta w finalnej fazie swej drogi poetyckiej, wprawiło krytykę, nie bardzo umiejącą sobie poradzić z interpretacyjnym odczytywaniem owych komunikatów, w euforię (być może pozwalającą komentatorom zapomnieć o ich wcześniejszych kłopotach z odczytywaniem znaczeń zawartych w utworach poety). Ogólnie biorąc, dogłębność podjętej przez Różewicza analizy egzystencjalnej samotności człowieka w świecie i wśród istot dzielących z nim los człowieczy pobudziła niektórych do domniemywania, iż ta nowa, jakby przesuwająca się ku zagadkowemu „czwartemu wymiarowi” perspektywa widzenia życia ludzkiego jest wyrazem rozbudzonych „tęsknot metafizycznych”. Pojawiły się głosy – niekiedy poważne i intelektualnie uczciwe – rozpatrujące przesłanie utworów poetyckich Różewicza z ostatniej dekady poprzedniego stulecia jako aktu inicjacyjnego współczesnej poezji mistycznej. Nie wydaje mi się jednak, by takie ich odczytywanie było zasadne; uniwersalistyczna otwartość tej poezji na poza- i ponadkonfesyjne przeżycia i doznania o skali przerastającej horyzonty myślenia racjonalnego oferowały czytelnikom uprawiającym – a także tylko biernie aprobującym – fascynującą artykulację ich własnych potrzeb duchowych. Filologiczna analiza poetyckich tekstów Różewiczowskich pozwala odbiorcom nie wciągniętym w tę wyprawę w strefę transcendencji jedynie doczytać się w poezji Różewicza wysublimowanych aluzji i odniesień do różnych ogniw mistycznych w przebogaty tradycjach literatury światowej.

Puścizna dramatopisarska Tadeusza Różewicza nie jest może tak obfita, jak jego dorobek poetycki, ale stanowi blok spójny myślowo i – choć formalnie dość zróżnicowany – upoważniający do uznania autora za nie tylko jednego z najwybitniejszych dramatopisarzy polskich, ale także i światowych w drugiej połowie XX wieku. Nie mogę w zwięzłych ramach tego szkicu scharakteryzować dramaturgicznej puścizny Różewicza bardziej szczegółowo, ograniczę się do przypomnienia jej najistotniejszych ogniw. Jego *Kartoteka* (1960) urzekała finezyjnym wdziękiem przekornego pastiszu europejskiego teatru absurdu, w którym dawały się odnaleźć paratele z polskim dramatem romantycznym i postromantycznym. *Akt przerywany* (1963) z kolei był swoistą polemiką z dramatem autotematycznym – inną owocnie modną nowinką podpatrywaną na scenach świata zachodniego. Natomiast dramat *Stara kobieta wysiaduje* (1968) wyrastał wprost z żywej gleby dramatopisarstwa narodowego, zawierał też potężną dawkę uscenicznionej kultury ludowej – a wszystko to utrzymane było w otwarcie dramatycznym apelu o szacunek dla bezbronnej prostaczej starości w rozchwiejtanym pod względem obyczajowym (ale także etycznym) świecie współczesnym.

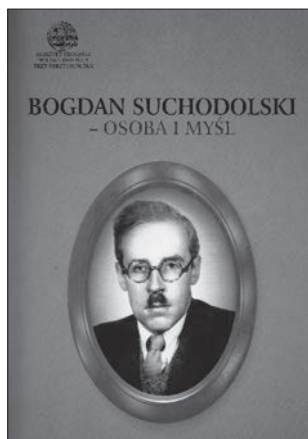
Szczególnie ważną pozycję w dorobku dramatopisarskim Różewicza zajmuje inny jeszcze zgroźliwy obraz przemieszania patriotycznego poświęcenia z ciągotami rodzącymi się ze zbójckiego dziedzictwa – stałego motywu tematycznego tradycji ludowej, zawarty w sztuce *Do piachu* (1972). Sztuka to dopiekła do żywego „prawdziwym patriotom” i wplotła Różewicza w samo sedno rozdziałającego (a często wręcz rozdzierającego) naszą społeczność od dwóch przynajmniej wieków sporu bezkrytycznych gloryfikatorów naszej narodowej przeszłości z jej „krytykantami”, głoszącymi potrzebę rozdrapywania narodowych ran w imię unikania w przyszłości błędów i grzechów owe rany powodujących. W planie formalnym, była to jedna z najbardziej wiernych tradycjom narodowego dramatopisarstwa i teatru sztuk scenicznych pióra Różewicza. Jakby dla dopełnienia przeglądu podniosłych dramatów narodowych, następna sztuka sceniczna pisarza – przekornego we wszystkich niemal swych działaniach twórczych – *Białe małżeństwo* (1973), łączyła pastiszowe pogłosy światowej „rewolucji seksualnej” z sarmackim humorem Fredrowskim (ale oczywiście w jego wersji usankcjonowanej licznymi realizacjami scenicznymi, nie zaś z tą półprywatną, krążącą w niedrukowanych odpisach, obsceniczną zabawą fraszkopisarską).

Najskromniejsze miejsce w puściznie pisarskiej Różewicza wypada przyznać jego prozie, może z wyjątkiem *Przygotowania do wieczoru autorskiego* (1971, wyd. drugie, uzupełnione o nowsze prace, 1977). Zastosowana w tym zbiorze szkiców eseistycznych, wierszy (niekiedy projektów na utwory poetyckie), epizodów dramatopisarskich i dywagacji chwylami bliskich

aforyście logika kompozycyjna układa ten misz-masz w swoistą całość, którą można uznać za prozatorską „formę otwartą” o niebiałym ładunku intelektualnym, naświetlającym podglebie, z którego wylaniały się Różewiczowskie wiersze, poematy, sztuki sceniczne. W każdym razie daje ten zbiór wyjątkowo cenny wgląd w „kuchnię” pisarską Różewicza, czy też w jego pisarskie i intelektualne laboratorium.

W ogóle można odnieść wrażenie, że wszystkie rodzaje i gatunki literackie, którymi posługiwał się Różewicz w swych twórczych poszukiwaniach, pełniły rolę służebną w stosunku do jego poezji. Stąd też, być może, czerpała ona niebywałą siłę wyrazu artystycznego, jego krystaliczną czystość i zwartość. Jako poeta zmagający się z najtrudniejszymi wyzwaniem rzucanymi człowieczeństwu przez nasz los historyczny był Tadeusz Różewicz nie tylko jedną z najwybitniejszych osobowości w polskiej literaturze współczesnej – był równy wieszczom w naszej nieprzewidywanej i nieprzewidywalnej epoce.

Wacław SADKOWSKI



## Rafał SKĄPSKI

# Bogdan Suchodolski w Narodowej Radzie Kultury

W roku 2013 minęła sto dziesiąta rocznica urodzin profesora Bogdana Suchodolskiego. Z tej okazji, uwzględniając także niedawną (w 2012) dwudziestą rocznicę śmierci oraz pięćdziesiąte rocznice Jego dwóch doktoratów (honorowy w Padwie i odnowienie w Uniwersytecie Warszawskim), Komitet Prognoz „Polska 2000 Plus” przy Polskiej Akademii Nauk wydał właśnie publikację zawierającą

zarówno teksty Profesora (w tym po raz pierwszy drukowane) jak i eseje oraz wspomnienia o Nim i o Jego dziele. Trud przygotowania tomu (włączając w to samą inicjatywę jego stworzenia) przyjęła na siebie uczennica i wieloletnia współpracownica Bogdana Suchodolskiego, prof. dr Irena Wojnar.

Poniżej drukujemy jedno z wystąpień podczas promocji publikacji, która odbyła się 2 kwietnia 2014 r. w Pałacu Staszica w Warszawie.

Redakcja

Współpracowałem z profesorem Bogdanem Suchodolskim 10 lat zaledwie, ale przez przynajmniej połowę tego okresu były to kontakty codziennie, także domowe, niejako rodzinne.

Profesor funkcjonował wówczas w roli, większości Państwa, jego uczniom i współpracownikom nieznaney lub mało znanej, a w każdym razie mało spodziewanej: w roli *quasi* polityka. Nie tylko ci, którzy kojarzyli go wyłącznie z NAUKĄ, ale i On sam zadawał sobie pytanie: dlaczego profesor podjął się roli przewodniczącego nowo powstającej wówczas Narodowej Rady Kultury? Tym bardziej, że wcześniej odmawiał kolejnym ekipom, które chciały posłużyć się jego nazwiskiem, jego autorytetem. Ta książka w kilku miejscach, także słowami Profesora, po raz pierwszy opublikowanymi, szuka odpowiedzi na to pytanie.

Przedstawiając swe powody w jednym ze szkiców zamieszczonych w omawianym tomie Profesor używa znamienych sformułowań: „...słowa sejmowej uchwały zwiastowały piękne nadzieje ...intelektualista zapragnął poddać próbie życia te koncepcje, które dotychczas żyły tylko w świecie idei ...szanując działalność [opozycji] i rozumiejąc motywy, chcieliśmy ogarnąć szerokie horyzonty twórczości i uczestnictwa, horyzonty całego społeczeństwa... w ciągu całego życia wyznawałem przekonanie, iż polityczny wymiar życia nie jest jego najgłębszym wymiarem, że kultura jest treścią tego głębszego wymiaru. Ta wizja społeczeństwa uczestniczą-

cego w kulturze należała do kręgu intelektualnej utopii, ale w trudnych i dramatycznych życia w Polsce i w świecie była to utopia żywa. Jakże silna była pokusa by próbować ją realizować, ale wszystko wokół było zagadką ...rodziło się globalne i egzystencjalne rozumienie kultury jako drugiej rzeczywistości ludzkiego życia.”

Mija 25 lat od wyborów czerwcowych z 1989 roku, ale i 25 lat od obrad Okrągłego Stołu.

Wybory z 4 czerwca odmieniły polską rzeczywistość, zakończyły byt wielu instytucji w tym Narodowej Rady Kultury. Ale czy jej rolę można zamknąć tylko w stwierdzeniu, że się po prostu wypełniła jej formuła z chwilą ustrojowej transformacji? Że taka, podobna nieco czy całkiem inna instytucja jest już niepotrzebna? Bo przecież za prezydentury Lecha Wałęsy podjęto próbę odtworzenia tego typu organu doradczego. Zbyt jednak wiele zaszło różnic w zasadach działania, by porównywać obie te rady.

Dorobek Narodowej Rady Kultury zarysował sam Bogdan Suchodolski. We wszystkich wspomnieniach autorzy, opisując charakter profesora, jego poglądy, jego spojrzenia na człowieka i jego powinności chcąc nie chcąc tłumaczą postawę profesora i niejako nie wprost objaśniają powody decyzji o włączeniu się w sferę polityki, by działać na rzecz kultury. Ale jest kilka dowodów obiektywnych, na rolę i znaczenie NRK, na jej postrzeganie i dokonania, które warto tu dziś przywołać. Wymienię trzy wedle chronologii ich pojawiania się.

Po pierwsze – Okrągły Stół. Niezwykłe w historii zdarzenie polityczne. Bez wzorów wcześniejszych. Mimo bezspornego sukcesu bez jednoznacznych naśladownictw w latach kolejnych, w innych krajach, w których dochodziło do przeobrażeń politycznych.

Przypominam sobie rozmowę z profesorem w dniach przygotowań do rozpoczęcia obrad Okrągłego Stołu. Zapytałem Go wówczas, czy nie powinniśmy spowodować, by tematem obrad odrębnego podzespołu były sprawy kultury. Profesor bez chwili wahania zaprzeczył. „Kultura nie powinna w żadnym przypadku być polem politycznych negocjacji. To sukces, że żadna ze stron tej tematyki nie chce podjąć. Nie wikłajmy kultury w bieżące polityczne rozgrywki.”

Po niedługim czasie przyznałem mu rację. Dziś jestem pewien, że to właśnie funkcjonowanie Narodowej Rady Kultury połączone z polityką ówczesnego ministra kultury Aleksandra Krawczuka (notabene tuż przed powołaniem na funkcję ministra był on wiceprzewodniczącym NRK), spowodowało, iż rzeczywiście nie było potrzeby o kulturze rozmawiać przy Okrągłym Stole. Nie był to już wówczas obszar politycznego sporu.

Po drugie – papież, Jan Paweł II. Miałem zaszczyt towarzyszyć profesorowi w audyencji prywatnej u papieża Jana Pawła II, 13 grudnia 1989 roku. Ambasador PRL w Watykanie Jerzy Kuberski, już ponad rok wcześniej – podczas rozmowy z papieżem, w której Jan Paweł II wyraził zainteresowanie wydaną w Polsce książką – albumem autorstwa małżonków Suchodolskich „Polska – naród a sztuka” – zaproponował, by papież spotkał się z autorami. Kiedy wiadoma już była data audyencji, wspólnie z profesorem podjęliśmy decyzję, iż skoro pretekstem wizyty jest album, który (specjalnie oprawiony) ma być darem dla papieża, zawieziemy w imieniu polskich wydawców spory dar dla watykańskiej biblioteki. Rozmowa toczyła się więc początkowo przy ustawionym pojedynczo na postumencie albumie Suchodolskich, następnie przeszliśmy do ekspozycji blisko 200 książek od wydawców.

Niewiele zapamiętałem ze słów profesora i papieża. Emocja nie pozwalała na uważne wsłuchiwanie się. Profesor wyrażał niepokój z powodu przemian, obawiał się czy idą w dobrym kierunku, czy nie odbiją się negatywnie na społeczeństwie. Papież uspokajał mówiąc, iż ufa że polskie społeczeństwo poradzi sobie z przeciwnościami, z kłopotami transformacji. Przyznam, iż byłem troszkę zdziwiony słowami profesora tak śmiało podważającymi reformy; ale i słowami papieża, jak odniosłem wrażenie, mało przejętego społecznymi kosztami tych reform. Kiedy toczyła się ta rozmowa, upadł już mur berliński, Węgry miały otwartą granicę z Austrią, w Czechosłowacji trzy dni wcześniej ustąpił Husak.

Profesor, który rozumiał kulturę najszerzej jak można, a jej źródła odnajdywał w dziedzictwie przeżyć i doświadczeń całej Europy, widział jednak sprawy – jak zawsze – dalej i głębiej. Dwa lata później w ostatnim swym esejku „Europa – niebezpieczeństwa integracji” napisał:

„Z dzisiejszego, aktualnego punktu widzenia powinniśmy spojrzeć na polityczną rzeczywistość Europy, czyli «tego małego półwyspu, który wykańcza wielką Azję». Przekonamy się wówczas, jak bardzo krucha i spękana jest ta rzeczywistość będąca tylko pozornie naszym zacisznym portem świata darzącym ludzi spokojem. Potężne siły wewnętrzne rozwoju odsłaniają wciąż nowe niebezpieczeństwa i rozczarowania, nowe płaszczyzny konfliktów. Skupimy naszą uwagę na roli tzw. mniejszości, które traktowane były jako składniki współczesnych społeczeństw, składniki wymagające opieki, zgodnie z dyrektywami praw człowieka. Siły te dziś ujawniają się z coraz większą intensywnością, zdają się zdolne do przekształcenia mapy Europy, przebudowy ustrojów i granic państwowych. Spojrzenie na mapę Europy odsłania ostrzegawcze losy byłego Związku radzieckiego. Nikt nie zaprzeczy, iż powstaje tam nowa rzeczywistość historyczno-polityczna. Być może także nadejdzie, kiedy zostaniemy poinformowani, iż obok Czech i Pragi powstała niezależna Słowacja i Bratysława. [...]Na tle przywołanych przykładów idea integracji Europy brzmi w sposób daleki od spokojnego optymizmu. Szczególnej aktualności nabiera stwierdzenie, że Europa została zdradzona, uwikłana we własnych słabościach, bezsilna. [...] Tytuł mojego wystąpienia zawiera ostrzeżenie o niebezpieczeństwach, jakie przynosi rozwijająca się integracja Europy. Ostrzeżenie to wyda się zapewne wielu osobom nieoczekiwane, a może nawet fałszywe i zbędne. Przywykliśmy bowiem traktować integrację jako zjawisko jednoznacznie pozytywne i zespalające się dobrze z wartościami edukacyjnymi”. Rozmawiając z papieżem, profesor zdawał więc już sobie sprawę z zagrożeń jakie przyniesie przyszłość.

Przywołuję to spotkanie i tę rozmowę, z przekonaniem, iż nie musiał przecież papież przyjmować profesora z żadnego innego powodu poza uznaniem dla osoby i dorobku profesora, z którym – jak wspominali obaj i podczas tej audiencji – spotykał się wcześniej, we Włoszech, na jakiś sesjach naukowych, bodaj poświęconych Świętemu Franciszkowi. A przecież musiał być papież świadom, iż ta audiencja, może być rodzajem sygnału do kraju, do władz, że Suchodolski nie jest – przynajmniej u niego – na indeksie. A może wręcz chciał, by sygnał taki z Watykanu do Polski dotarł. Bez wątpienia, to spotkanie należało do ważnych przyczynków w rozważaniach nad przemianami w kraju i na kontynencie. Było spotkaniem dwóch myślicieli, dwóch Polaków troszczących się o los swej ojczyzny. Ale w kraju profesor był już przez nową władzę coraz bardziej konsekwentnie skazywany na zapomnienie. O wizycie u papieża dwu zdaniową informację przyniósł tylko paxowski dziennik „Słowo Powszechne”.

Po trzecie – Komisja Kultury NSZZ Solidarność. W lutym roku 1990 stało się już oczywiste, że władze nowej, III Rzeczypospolitej, nie akceptują postawy profesora, nie uznają sensu funkcjonowania Narodowej Rady Kultury, ignorują nasze istnienie.

Profesor z pewną rezerwą, a nawet niepokojem, obserwował kierunki i tempo zmian w kraju po 4 czerwca 1989 roku. Ufał jednak tym, których dobrze znał sprzed lat, z którymi spotykał się u przyjaciół, na przykład u Jerzego Zawieyskiego. Ufał pomimo tego, iż oni co rusz dawali do zrozumienia, że w ich kontaktach już coś się zmieniło lub zmienić powinno. Tadeusz Mazowiecki nie odpowiedział na żaden list profesora; nowa minister kultury – choć wciąż, od 1987 roku, członkini Narodowej Rady Kultury – niechętnie przystała na propozycję spotkania z profesorem, wyraźnie zaznaczając mi, że nie może się pojawić żadna notatka prasowa o tej wizycie. Podjąłem więc ryzykowną, bo z ówczesnego punktu widzenia, z góry skazaną na niepowodzenie decyzję odbycia spotkania z szefem biura kultury Komisji Krajowej NSZZ Solidarność.

To szukanie próby porozumienia z nową, wpływową, opiniotwórczą, de facto rządzącą siłą społeczną, jawiło się spotkaniem ostatniej szansy. Zostałem zaproszony do Gdańska, gdzie spędziłem ponad cztery godziny, sam wobec dziesięciorga bodaj uczestników spotkania. To była rozmowa nie tylko długa, ale przede wszystkim trudna, o wielu wątkach. Wielokrotnie byłem atakowany i musiałem odpowiadać nie tylko „za NRK”, ale i za partię, za rząd, za stan wojenny i niemal całe zło, które wydarzyło się po II wojnie w Polsce. Finał jednak przeszedł moje oczekiwania. Szef komisji, Szymon Pawlicki, uznał (nie bez oporów części zebranych), że dorobek Rady powinien zostać uznany, a sens jej istnienia potwierdzony. Profesor był wówczas także szefem Komitetu do Spraw Dekady Kultury UNESCO; i ta działalność,

i przedstawione przeze mnie programy, zostały także zaakceptowane. Pawlicki wyraził opinię, że profesor powinien utrzymać funkcję w UNESCO, a w NRK otrzymać tytuł honorowego przewodniczącego. Nie wszyscy obecni na spotkaniu zgadzali się z Pawlickim, ale zakończył zdecydowanie dyskusję, wymieniając się ze mną numerami telefonów, mówiąc, iż czeka nas czas intensywnej współpracy.

Nie upłynął tydzień od mojej wyprawy do Gdańska, kiedy profesor otrzymał list od premiera Mazowieckiego, dostarczony przez umyślnego w kopercie, którą ów posłaniec wręczył mu przez próg. Było to odwołanie z funkcji i zapowiedź likwidacji całej Rady. Bez słowa wytłumaczenia, bez słowa podziękowania. Po latach, gdy spotkałem ówczesnego szefa gabinetu premiera, zapytałem czy pamięta tamtą sprawę. Pamiętał. Powiedział, że nadszedł faks z Gdańska z poleceniem, czy prośbą, by zachować Radę i zapewnić Profesorowi możliwość publicznego działania. Był to jednak już początek wojny na górze, zatem po krótkiej naradzie polecenie z „centrali” potraktowane zostało całkowicie odwrotnie.

Postawa społeczna profesora ma bez wątpienia swój początek w charakterach i pojmowaniu służby i misji lekarza przez jego dziada i ojca. Ojciec - Kazimierz - był lekarzem kopalnianym, dyrektorem jednego z sosnowieckich szpitali, wyczulonym na biedę górniczych rodzin. To z jego inicjatywy w Sosnowcu powstał w 1905 roku „Komitet sanitarno-lekarski”, a w roku 1916 - fundacja „Kropla mleka” służąca dożywianiu, ale i oświacie zdrowotnej najbardziej potrzebujących mieszkańców Sosnowca. Doktor Kazimierz Suchodolski był jej prezesem przez wiele lat. Z ideą fundacji „Kropla mleka” wiązało się wielu postępowych lekarzy tworząc jej filie w wielu miastach (w Krakowie dr Tadeusz Żeleński, w Warszawie dr Zofia Garlicka). Dziadek Profesora, Walenty Suchodolski, był lekarzem w Grodnie. Zakaził się w szpitalu, od pacjenta, tyfusem plamistym. Mimo świadomości swej choroby, będąc jednak już bliski wyzdrowienia, nie odmówił pomocy zaprzyjaźnionemu obywatelowi ziemskiemu, który prosił go o nagłą interwencję lekarską. Kilkumilowa podróż w śnieżnej zamieci pogorszyła jego stan zdrowia i doktor Suchodolski zmarł po tygodniu, 14 marca 1875 roku, w wieku 48 lat. We wspomnieniu pośmiertnym tak o nim pisała Eliza Orzeszkowa: *„Trud niezmordowany, żelazny, nie czujący przeszkód ani spoczynku, był główną i zaprawdę zaszczytną cechą życia tego, jak też bezpośrednią przyczyną zbyt wczesnego jego końca. Fakt zgonu, nie potrzebujący komentarzy, budzić musi wysoki szacunek dla pamięci zmarłego, jak też służy jednym dowodem więcej, o ile nauka i płynące z niej surowe pojęcie obowiązku, przyczynia się do zwiększenia liczby tych mężnych i dobroczynnych czynów, które nieznanie często i należycie nie ocenione, stanowią przecież chlubę i najsilniejszą podporę ludzkości”*.

Czy tych słów nie można wprost skierować ku profesorowi Bogdanowi Suchodolskiemu, czyż nie był i On swego rodzaju lekarzem, czyż nie udzielał nam porad, wskazówek, czyż nie wypisywał recept dla nas, dla ludzkości?

---

## Zdzisław SŁOWIK

# Nadzieja przekraczająca los

---

Ta książka, której ważnym fragmentem jest drukowany powyżej tekst Rafała Skąpskiego, budzi najpierw szczerzy szacunek. I z całą pewnością musi on być skierowany na ręce profesor Ireny WOJNAR: bo Jej bowiem osobiste zaangażowanie, trud i rozległa kompetencja sprawiły, że oto ukazała się książka, choć skromna objętością tym bardziej uderzająca wielością idei i myśli, przypominanych tekstów Bogdana Suchodolskiego i rozważań o nim i jego dziele tych z grona współpracowników lub uczniów, którzy, na przekór klimatowi obecnego czasu,

pragnącego jakby zapomnieć o współtwórcy powojennej polskiej myśli pedagogicznej, myśl tę rekonstruuje ze znanstwem i szacunkiem dla dzieła swojego Mistrza.

Oto więc najpierw krótka podróż w krajobraz wypełniony wybranymi tekstami Bogdana Suchodolskiego: o jego drodze „do pedagogiki i przez pedagogikę”; o edukacji i wychowaniu, o prawdzie i o tym, „czy historia nauki jest historią prawdy?”. Te wszystkie teksty były drukowane wcześniej, pięćdziesiąt – sześćdziesiąt lat temu, lecz mimo upływu czasu zachowały dziś zadziwiająco aktualność, a walory ich języka mogą być wzorem dla wielu autorów współczesnych.

„Jego działalność, sukcesy i klęski – czytamy *Wstęp* prof. Ireny Wojnar – nie tylko określają indywidualną biografię uczonego o niezwykłych uzdolnieniach, wyjątkowo szerokich zainteresowaniach i talencie pisarskim, jednego chyba z ostatnich, którzy zasługują na miano humanisty w renesansowym niemal znaczeniu, lecz także pozwalają lepiej zrozumieć bolesne dzieje całego pokolenia polskiej inteligencji. Zostało ono uwikłane w splot uwarunkowań i wydarzeń, zadań spełnionych i niespełnionych, konfliktów i rozdroży, nade wszystko jednak wyrażało poczucie misji społecznej i patriotycznej. Było to więc pokolenie urodzone i wychowane jeszcze w okresie zaborów, które przeżywało radość wolności odzyskanej w 1918 roku, brało udział w latach międzywojennych w budowaniu Drugiej Rzeczypospolitej, wstąpiło do podziemia w latach hitlerowskiej okupacji, podjęło trud odbudowy i kształtowania nowych wartości po zakończeniu wojny” (s. 7–8).

W tym powojennym okresie pisał i wydawał swoje kolejne studia, w których poszukiwał związków pomiędzy ideałami humanizmu a kulturą rozumianą jako sposób życia człowieka. Humanizm autora *Wychowania dla przyszłości* konkretyzował się pod postacią trzech splecionych ze sobą znaczeń, a mianowicie „świata humanistycznego”, to znaczy trwałego uniwersum ludzkich dokonań w sferze wiedzy i wartości; jako zespołu refleksji na temat tego uniwersum oraz jako postawy zaangażowania i wrażliwości; wreszcie jako źródło osądu tego świata. „Badawczą rolę współczynnika humanistycznego (a przywoływał tutaj głośną tezę bliskiego mu Floriana Znanieckiego – dop. ZS) w stosunku do danych kulturowych w pewnym sensie rozszerzał przez uwydatnienie współczynnika personalistycznego, roli człowieka w poznawaniu i przyswajaniu rzeczywistości zewnętrznej” (tamże). Podczas uroczystego odnowienia doktoratu na Uniwersytecie Warszawskim w październiku 1983 r. mówił dobitnie o potrzebie – w każdej sferze jednostkowego i społecznego działania – tworzenia klimatu wzmacniającego dialog, tolerancję i otwartość. I były wówczas te słowa – wolno z przekonaniem powiedzieć – jego wołaniem o zmiany strukturalne w Polsce, które niebawem nadeszły. Zapominać dziś o tym wołaniu wielu innych przedstawicieli polskiej inteligencji to pomijać to bezcenne dziedzictwo w obrazie współczesnego polskiego losu. Dziś często redukowane do martyrologii, kombatantstwa i antykomunizmu.

Takie widzenie świata – jednostronne, zawężone, wypełnione niechęcią do „nie-swoich” – było obce Bogdanowi Suchodolskiemu. A swój sprzeciw nie wyrażał się w żadnych spektakularnych deklaracjach, lecz w pracy u samych fundamentów nauki i ludzkiej egzystencji. I nie była to ani postawa klerka czy konformisty ale była obecnością w tamtym czasie mądrą wiedzą dyktującą rozważę, umiar i dążenie go poszukiwania tego co wspólne ponad naturalnymi różnicami w ocenie świata, nie dewastującymi jego fundamentów.

W drugiej części książki zatytułowanej *Nawiązania* odnajdujemy rozprawy autorów reprezentujących różne pokolenia uczonych i nawiązujący w zróżnicowany sposób do myśli Bogdana Suchodolskiego: czytamy więc rozprawy analityczne i osobiste wspomnienia. Wyłania z nich problematyka z zakresu historii nauki, studia nad przyszłością, różne kwestie dotyczące zagadnień ściśle edukacyjnych, i stale dominująca, w dziedzictwie autora *Pedagogiki na miarę naszych czasów*, problematyka kultury i humanizmu.

Otwiera ten dział studiów szkic jednej z bliskich i już nieżyjących współpracownic Profesora, Ireny Stasiewicz-Jasiukowej, na temat formowania się koncepcji historii nauki, jako nauki nie ograniczającej się do dziejów nauk ścisłych, lecz na równych prawach do nauk

społeczno-humanistycznych, do „dziejopisarstwa, historii literatury i językoznawstwa”. „Na podstawie tych rozważań widać wyraźnie – czytamy to studium – że koncepcja historii nauki, uniwersalna i rdzennie polska, powstała w kontekście historycznym – narodu pozbawionego państwa” (s. 152). Kontynuacją tej problematyki jest studium Barbary i Leszka Kuźnickich na temat Bogdana Suchodolskiego jako inicjatora i redaktora 8.tomowego wydawnictwa zatytułowanego *Historia Nauki Polskiej*, które ukazywało się w latach 1970–1992, i stanowi pierwszą, przez co unikalną syntezę dziejów nauki w Polsce poczynając od jej początków aż po rok 1952. A Rafał Skąpski jakby dopełnia to dzieło w postaci rekonstrukcji działalności jego twórcy w Narodowej Radzie Kultury, instytucji rozwijającej to przesłanie w praktyce czasów współczesnych.

Z kolei w szkicu dr Andrzeja Sztylki na temat idei humanizmu znajdujemy takie oto jego rozumienie w myśli Bogdana Suchodolskiego: „Humanizm... jest obroną człowieka przed niesprawiedliwymi, krępującymi i przytłaczającymi formami rzeczywistości społeczno-kulturalnej. Jest jego wyzwoleniem. Jest przywróceniem człowieka sobie samemu. Ale zarazem jest wolą budowania nowych, słusznych i odpowiednich form, jest siłą pobudzającą rozwój jednostki... przetwarzanie świata na miarę ludzką i przetwarzanie człowieka według jego własnych ideałów” (s. 200).

Kolejne studia tego tomu, a wśród nich profesorów Czesława Kupisiewicza i Antoniego Rajkiewicza i dr hab. Wiesławy Pielaasińskiej, wprowadzają w krąg kolejnych ważnych kwestii polskiej edukacji czy myśli o „ponadczasowej wizji przyszłości”. W tej wizji mieściła się Bogdana Suchodolskiego „pedagogika nadziei”, która – jak podkreślał w swym głośnym esej *Pedagogika humanizmu tragicznego* – jest „... kategorią tragizmu, ale i kategorią życia prawdziwie ludzkiego, kategorią nadziei potwierdzanej nawet klęską, która okazuje się zwycięstwem nad losem”.

Odnioś je bez wątpienia Bogdan Suchodolski, całym swoim wielkim dziełem i swoją myślą stale zwróconą ku człowiekowi, aby był zdolny przekraczać swój los.

Monika  
Jaruzelska  
**Rodzina**



wydawnictwo compass i ciao

## Wacława MIELEWCZYK **Świadectwo mądrej pamięci**

To wszystko, co tak dramatycznie w ostatnich miesiącach i latach określało życie tej rodziny, z dyskretnym napięciem obrazowane w najnowszym tomie Moniki Jaruzelskiej, nadaje temu obrazowi świadectwo szczególnego doświadczenia.

W tym doświadczeniu mieściło się zapewne usilne dążenie do zakończenia pracy nad książką tak, aby mogła zdążyć z nią do cierpiącego ojca, i aby, choćby patrząc na jej zadrukowane karty, mógł zobaczyć w dziele córki jakże rozległy obraz samego siebie. I wolno też sądzić, że w tym doświadczeniu mieściła się, płynąca zapewne cieniutkim strumykiem i zwrócona ku ojcu nadzieja na trwanie tego życia, któremu nadała w swojej narracji kształt bardzo ludzki, niepatetyczny, a przez to przemawiający ujmującym autentyzmem. Czytamy w *Rodzynie*: „Niedawno zdałam sobie też sprawę, że jest we mnie pewna dwoistość. Chyba po raz pierwszy zrozumiałam to w szpitalu, gdy ojciec powiedział słabym głosem: «Kapituluję, córeczko...». A ja jakbym wydawała mu komendę:



«Jeszcze nie!». Nagle uświadomiłam sobie, że ...tak naprawdę to nie jego chciałam postawić na bacność, ale siebie. Żeby jakoś się nie rozpaść, nie dać się pokonać przez własny strach o to, że ojciec jest taki słaby» (s. 42-43).

To też nawet kiedy ów strumyk nadziei nie na długo zdolny był podtrzymać to gasnące życie, to jednak stał się jego szczególnym dopełnieniem. Bo należał Wojciech Jaruzelski do coraz malejącego liczebnie rodu tych, których życie formowało słowo: do jego wagi przywiązany był całym sobą, nawet nadmiernie, i dlatego usłyszał zapewne z kart tej książki swoje pragnienie doświadczania słowa, nawet wtedy, kiedy stało się dziś ono już nieco inne w swym kształcie czy brzmieniu.

Bo najnowsza książki Moniki Jaruzelskiej jest – z wieloma innowacjami – kontynuacją poetyki *Towarzyszki panienki*: formą opisywania rzeczywistości wersami krótkimi, jakby żywcem wyjętymi z ekranów telewizorów czy esemesów. Tak, to forma komunikacji dominująca dziś w przestrzeni społecznej, która zawładnęła wyobraźnią wielu i odciska swoje ślady w naszym języku, zachowaniach, w twórczości.

Także w pisarstwie autorki *Rodziny*. To pisarstwo czyta się łatwo, i z przyjemnością, choć dotyczy kwestii niebanalnych, więcej, które się czyta z niegasnącym zainteresowaniem, bo przekazuje nam, zwykłym czytelnikom, doświadczenie dostępne tylko niewielu. I zarazem, choć czytamy o podróżach autorki na wyspy greckie czy na Teneryfę, lub kiedy chciałoby się nam za jej plecami też pozbierać i zasmakować pachnących poziomek z mazurskich lasów czy oddychać powietrzem podhalańskiego Kościeliska, albo być choćby słuchaczem jej spotkań z wieloma ludźmi – to zawsze wszystkie te obrazy są tylko tłem do myśli przewodnich daleko głębszych, bo dotyczących życia pewnej generacji Polaków, którym los, nie tylko za sprawą dziedzictwa lecz własnego talentu przyniósł sukces godny szacunku.

Tych obrazów nie wolno w żadnym razie pominąć. Są one trojakiemu w książce rodzaju: datowane latami minionej dekady, datowane latami tej dekady i nie datowane w ogóle. Te ostatnie to już nie tyle obrazy lecz refleksje o tym co było niedawno, jak choćby sklepy „za żółtymi frankami”, ale też – co jest dziś: „Kolorowe pisma – czytamy Jaruzelską – kultywują mit kobiety czterdziestoletniej, która zrobiła karierę i tak już zostaje do końca świata. To nieprawda. Żadna pozycja zawodowa nie daje gwarancji na całe życie. Dzisiaj można być panią dyrektor lub prezes, jutro osobą bezrobotną z długami na głowie i debetem na koncie. Polski kapitalizm zaczął się jawić jako feudalizm kredytowy, w którym władzą ustawodawczą są banki, a organem wykonawczym komornik.” s. 87). Lecz pojawiają się i nadchodzące lata, nasza przyszłość, także przyszłość jej syna Gucia, który już parę lat temu tak oto zapytał mamę: „Mamo, czego jesteś taka stara». Odpowiedziałam żartem: «A co, wstydzisz się mnie. Masz z tym problem wśród kolegów?» – spytałam, wiedząc, że faktycznie jego koledzy mają dużo młodszych rodziców. Ale on poważnie stwierdził: «Nie o kolegów chodzi. Mnie martwi, że za krótko ze mną będziesz. I bardzo będę cierpiał jak umrzesz»” (s. 90). To zapewne nie tylko lęk egzystencjalny, ale obawa o swoją przyszłość w jej szerszym oczywiście znaczeniu. Ale to zarazem piękny swoją bezpośredniością fragment tej książki, wprowadzający w klimat życia jej rodziny.

Można za motto opisu, a może i zrozumienia tego klimatu, przytoczyć sławne zadanie Lwa Tołstoja z *Anny Kareniny*, co słusznie czyni także autorka, że mianowicie „Wszystkie szczęśliwe rodziny są do siebie podobne, a każda nieszczęśliwa jest nieszczęśliwa na swój sposób”. Wszelako dwie tyle rozległe, co niezwykle ważne dla obrazu całej książki rozmowy: z ojcem (s. 210–257) i matką (s. 275–310) nie potwierdzają tej klasycznej Tołstojowskiej konstatacji, tej dwudzielnej charakterystyki, którą łatwo zaprzecza doświadczenie rodziny Jaruzelskich. Rodziny szczególnej i szczególnego losu, w którym nie było miejsca na zbyt częste wyznania miłości, choć ona nieprzerwanie trwała, mimo chwil z pewnością i trudnych.. Autorka *Rodziny*, powołując się na świadectwa nieszczęśliwych rodzin opisane w wielkiej światowej literaturze zauważa: „Uznając oczywiście wszystkie proporcje, tej książki też by nie było, gdyby w mojej rodzinie panowała wieczna idylla... Moja siła polegała na przetrwaniu przy tak silnych dwóch

osobowościach, jakimi byli rodzice. Polegała na byciu w rodzinie postacią drugoplanową. Jednak im więcej milczałam, byłam w ukryciu, tym więcej widziałam, słyszałam i analizowałam. Zza kulis widać więcej niż ze sceny” s. 313–314).

I oto te kulisy: tak przynajmniej można by sądzić czytając zwłaszcza rozmowy córki z matką i ojcem. Owszem, jest w tych rozmowach – jakże skądinąd odmiennych od rozmów z „Kropki nad i” – wiele spraw ciekawych, mniej z życia Jaruzelskich dotąd znanych, wszelako spraw, w których nie znajdziemy żadnych rewelacji, żadnych sensacji, które próbowały wykreować ostatnio niektóre warszawskie brukowce. Jest za to po prostu normalne życie w warunkach często nienormalnych, bo wynikających z ról, którymi polska dekada lat osiemdziesiątych obaczyła Wojciecha Jaruzelskiego, ról, których ceną było odjęcie życiu rodzinnemu codziennej bliskości i ciepła. Wspomina o tym z dyskrecją słów autorka *Rodziny*, i czujemy jak trudne musiały być dla jej matki, pani Barbary, dni samotności, nawet pustki, kiedy i córka odeszła z rodzinnego domu budując swój własny dom i życie.

Lecz nie sposób na tym miejscu nie odnieść się u końca tych refleksji do dwóch jeszcze jej wątków: najpierw odnoszący się do zdystansowanego stosunku Jaruzelskich wobec religii i Kościoła. Ten dystans miał różne źródła, determinowane różnymi czynnikami i różne też jego odcienie widać z kart *Rodziny*. To wszystko czyta się z uwagą i dostrzega ich wspólny sens w słowach na ten temat wypowiedzianych 3 stycznia 2014 roku do córki przez jej ojca: „Masz rację, ja też uważam, że w tych sprawach (chodzi o stosunek do Kościoła – przyp. WM) należy zachować maksimum tolerancji – wzajemnej. To znaczy, że ludzie wiary i Kościoła powinni szanować i rozumieć ludzi niewierzących, i odwrotnie, ludzie niewierzący powinni szanować status Kościoła i jego moralne nauczanie” (s. 253).

Tolerancja. To słowo, różnie rozumiane, powraca dziś i często i gdziekolwiek się nie spojrzy wokół siebie czy na samego siebie. Przenikało też codzienne życie Jaruzelskich, rozdziło więc rodziną, było fundamentem wzajemnego zaufania i miłości. Zakończmy tę myśl obrazem z *Rodziny*: „To było w nocy – czytamy zwierzenie matki wypowiedziane do córki. Ojciec czuł, że umiera. Zaczął powtarzać «Odchodzę, Basiu, odchodzę». Złapałam go za ręce, on nawet nie miał siły ścisnąć, cały drżał. A ja w sposób bardzo egoistyczny, ponieważ on zawsze był bardzo mało mówny i powściągliwy, zapytałam: «Ty teraz odchodzisz, ale czy za życia kiedykolwiek mnie kochałeś?» I on zupełnie takim złamanym głosem powiedział: «Bardzo...». I ja na chwilę oniemiałam, a on powtórzył: «Bardzo...»”

Kończymy lekturę tej książki, dziękując za dar jej ciepła i świadectwo mądrej pamięci.

---

Monika JARUZELSKA, *Rodzina*, Wydawnictwo Czerwone i Czarne Warszawa, 2014, s. 32

---

## FUNDUSZ WSPARCIA „RES HUMANA”

Fundusz Wsparcia „RES HUMANA”, który powstał przed dwoma laty, nadal trwa i po większa liczbą Darczyńców. Tych naszych wiernych Czytelników i Przyjaciół, którzy zasilają Fundusz nie po raz pierwszy i ci, którzy po raz pierwszy dopisują się do grona uczestników Funduszu. To dla naszego czasopisma, pomoc i wsparcie nieocenione: dziękujemy za nie serdecznie.

Oto osoby, które w minionych pięciu miesiącach tego roku wzbogaciły Fundusz:

Pan Stanisław DUTKA

Pan Marian JAKUBCZAK

Pan dr Antoni JAŚKIEWICZ

Pani Zdzisława KASPERSKA

Pan Wiesław LUBIENIECKI

Pan Lesław MICHNOWSKI

Pan Władysław PRZYGOZDKI

Rada Podbeskidzia TKŚ

Prof. Piotr SZYDŁOWSKI

Pani Halina WIŚNIEWSKA

Jeszcze raz bardzo dziękujemy.

Redakcja RES HUMANA

# LUDZKIE SPRAWY

Czesław MATUSEWICZ

## MARZENIA SENNE:

### przesłanie boskie czy obrazy dnia?

Marzenia senne były i są zjawiskiem frapującym, nieprzewidywalnym, wymykającym się świadomościowej kontroli (pomijam tu kwestię tzw. snów świadomych (LD), stanowiących unikatowy obszar doświadczeń ludzkich). Zjawiają się jakby jawne zaprzeczenie reguł i praw znanej nam rzeczywistości, przenoszą nas w świat niby baśni, fantastyki, urojenia. Obrazy w marzeniach pojawiają się nagle i znikają równie szybko, jak się pojawiły. Wylaniają się „z niczego”, z nieokreślonej „mgielki”, niby Afrodyta z piany morskiej i znikają w nijakich przestworzach nie pozostawiając śladu po sobie. Trwanie i czas płynie w nich niesekwencyjnie. To, co doznane ukazuje się niekiedy jako znowu dziejące się, od nowa przeżywane i odtwarzane.

#### 1

Realne obrazy rzeczywistości w marzeniach sennych prezentują się niekiedy niemal z ejdetyczną dokładnością, kiedy indziej są splotem wątków fantastycznych „nie z tej planety”. Ukazują się nam twory niewiarygodnie zdeformowane, hiperboliczne, niemożliwe w sensie fizycznym, np. przechodzenie człowieka przez dziurkę od klucza lub w sensie psychicznym, np. mówienie kamienia lub drzewa. W marzeniach sennych nie obowiązują prawa chronologii, śniło się np. pewnemu sześćdziesięciolatkowi, że jest Piłatem (pewnie czytał *Mistrza i Małgorzatę*), wydaje sprawiedliwy wyrok w powszechnie znanej sprawie, a wybitny, współczesny prawnik pochwała jego decyzję. Jest bardzo dziwnym i to, że u niektórych ludzi treść marzeń sennych powtarza się wielokrotnie w prawie niezmienionej wersji.

Nieprzebrane zasoby obrazów, a nawet relacji międzyludzkich, jakie odkrywamy w marzeniach sennych (wg Freuda to treść jawna, występująca obok symbolicznej) stanowiły w wielu przypadkach cenne inspiracje twórczości artystycznej. Wykorzystywali je niektórzy malarze, np. Witkacy i pisarze, np. J. Potocki w *Rękopisie znalezionym w Saragossie*, tworząc dzieła surrealistyczne o powikłanych wątkach i niebywałych zależnościach. Poprzez swe utwory zbliżali dwa odrębne światy: nieprzenikniony i tajemniczy świat fikcji sennych do realnego, zmysłowo doznawanego otoczenia.

Obiekty marzeń sennych mogą jawić się w różnych kolorach i odcieniach kolorów. Niekiedy jest to gra kolorów, niesłychany przepych barw, istna gama odcieni kolorystycznych. Śniącym ukazują się kwitnące sady, „różnokwiatne” łąki zielone, egzotyczne ogrody itp. Bywa, że kolorowym obrazom towarzyszą doznania zapachowe, równie przyjemne jak wspomniane doznania wzrokowe. Jednak niektórzy ludzie nie zaznają takich przyjemności, obiekty ich marzeń sennych

są pozbawione doznań zapachu, smaku, kolorów – są szare lub zbliżone do czerni. Nie znaczy to, że zawsze są ponure i smutne.

Nadzwyczaj ciekawie przedstawia się spraw związku doznań zmysłowych w marzeniach sennych z inteligencji osoby śniącej. Jest wielce znamienne, że osoby o wyższym IQ miewają „obfitsze” zmysłowo marzenia, ich relacje z przeżyć sennych są bogatsze w szczegóły, dotyczące doznań sensorycznych. Są także bardziej złożone, powikłane.

Znaczącą też rolę w marzeniach sennych odgrywają emocje. Skłonność do doznań emocjonalnych w czasie snu, zwana tendencją filiotropową, też nie jest jednakowa u wszystkich doświadczających takich odczuć. Emocje przyjemne kojarzą się z „ogłędem” pięknych widoków, „łagodnymi” doznaniem taktylnymi, pobudzeniem seksualnym i innymi. Wyniki badań treści marzeń pokazują, że wątki seksualne częściej występują u mężczyzn niż u kobiet. U pierwszych co 10., a u drugich co 30. sen ma zabarwienie seksualne.

**Bardziej tajemniczym i rodzajowo bogatszym jawi się obszar emocji negatywnych. Niektóre z nich są tak intensywne, że noszą znamiona zjawisk patologicznych. Na przykład paraliż senny, inaczej zwany zmorą, jest przeżyciem zagrożenia, niebezpiecznej sytuacji, panicznego strachu, odczucia niezmiernie przykrego skrępowania, niemożliwości poruszenia się, dźwignięcia nogi lub ręki, otwarcia ust, krzyknięcia. Ciało pozostaje bezwładne, a psyche zaalarmowane grozą niebezpieczeństwa.**

Jawia się śpiącemu np. to, że łapska bandziora już prawie zaciskają się na jego szyi, a on nie może w żaden sposób ruszyć ręką i się obronić. Albo jakiś złoczyńca goni go, a on nie może uciekać, bo nogi ciężkie jak ołów, nie można nimi zrobić najmniejszego kroku. Po obudzeniu się osobnik jest spocony, ciężko oddycha, przeciera oczy i jest nadzwyczaj zadowolony z tego, że był to tylko sen, który nareszcie się skończył i powróciło poczucie bezpieczeństwa.

**Równie przykre są senne doznania lęku pojawiające się we snach spadania ze znacznej wysokości.** Śniący „wie”, że nałazł się na jakimś wysokim obiekcie: wieżowcu, urwistej skale górskiej lub jakimś innym i nagle zaczyna spadać, leci i leci w dół, a intensywność lęku narasta wraz z czasem spadania, aż osiąga punkt bolesnej kulminacji tuż przed zderzeniem z twardym podłożem... i wtedy budzi się niemal oszołomiony.

**Niekiedy zjawiska tego typu nazywa się koszmarami sennymi, a ich przyczyn upatruje się w doznawaniu stresu, zagrożeniach życia codziennego (rodzinnego, zawodowego, towarzyskiego). Najbardziej narażeni (ciekawe, że częściej kobiety niż mężczyźni!) na udreżkę koszmarów są ludzie wrażliwi, o bujnej wyobraźni, uzdolnieni artystycznie, a także ci po przebytych urazach i szokach.** C. Kai-Ching Yo, psycholog z Hong Kongu, twierdzi, że na przykre doznania senne są bardziej narażone osoby, które śpią na brzuchu, niż śpiące na boku.

**Tęgo typu doznania senne stają się przyczyną dyskomfortu psychicznego, pewnego zakłopotania już „na jawie”, niekiedy budzą zgrozę, zwłaszcza u osób starszych.** Są to doznania na tyle silne, że skłaniają do poszukiwania wsparcia, opiekuna. Upewniają w wierze: „Sen mara, Bóg wiara!”. Nie są one pożądanym. Świadczą o tym chociażby życzenia „Spokojnych snów!”, często składane przed udaniem się na nocny odpoczynek. Ten aspekt zjawiska ma, jak widać, znaczenie praktyczne, dotyczy zdrowia psychicznego i samopoczucia pewnych grup ludzi.

**Od czasów starożytnych przewija się u różnych myślicieli teoria, że „lęk zrodził bogów”, i wiele dowodów przemawia na rzecz jej prawdziwości.** Jeżeli tak, to marzenia senne należy uznać za jeden z istotnych czynników powstawania i utrwalania tego przekonania. Bo: 1) marzenia senne, w przeciwieństwie do zdarzeń postrzeganych na jawie, nie mają dającej się obserwować przyczyny, wydają się być czymś zewnętrznym, 2) są intensywne, poruszają śniącego do głębi, nie pozostawiają go obojętnym wobec treści snu, 3) osoba narażona na koszmar senny doświadcza jednocześnie poczucia kompletnej bezradności, jakby skrępowania przez nieznaną, obce siły.

Przy okazji warto wspomnieć o tym, że zazwyczaj mówimy o mrocznych snach a nie o mrocznych marzeniach sennych. Ostatnie określenie nie przystaje do tak objawiających się zjawisk. Sen i marzenie senne nie są synonimami, istnieje między nimi pewne różnicowanie semantyczne. **Moim zdaniem termin „sen” ma szersze znaczenie, wyraża zarówno to,**

co uwarunkowane fizycznie lub fizjologicznie, np. ból, zmaganie, akty seksualne jak i marzenia bajko pochodne bycia „księżniczką”, silaczem, władcą świata itp., natomiast „marzenia senne” określają jedynie doznania bardziej subtelne, zabarwione dodatnio lub neutralne emocjonalnie.

## 2

Po przedstawieniu krótkiej charakterystyki jawnej treści marzeń sennych przejdźmy do istoty rzeczy, do treści utajonej, czyli próby ukazania tego, jak je rozumiano w dawnych czasach i czym one są w mniemaniu współczesnych badaczy, zgodnie z obecnym stanem wiedzy.

Ludzie od najdawniejszych czasów interesowali się marzeniami sennymi, już 5000 lat temu w Mezopotamii, zapisywano ich treść na glinianych tabliczkach. Kapłani traktowali marzenia senne jako przekazy boskiej mądrości i starali się doszukać w nich oznak boskiej aprobaty, albo wskazówek dla swoich poczyńań. Sądzono, że ich brak grozi niepowodzeniem i krachem podejmowanych zamiarów. Najstarsze przekazy, znane m.in. z *Biblii*, przedstawiają marzenia senne jako objawienie niebiańskiej mądrości, informujące wybrańca bogów o tym czy i jak ma działać, by osiągnąć pożądaną cel. Szeroko znany sen Jakuba, śpiącego z głową na kamieniu, przedstawiał drabinę, wysoką aż do nieba, Boga oraz aniołów schodzących i wchodzących po niej, błogosławiących (tzn. aprobujących) poczynania Jakuba. Ten, pod wrażeniem snu, postawił w miejscu kamienia, na którym spał, świątynię na cześć Boga. Jako ciekawostkę dodam to, że kamień ten (?) po wielu perypetiach znalazł się w Londynie i leży pod tronem królewskim Wielkiej Brytanii. Jest symbolem uznania potęgi tego kraju!

Sen Salomona, jakże często komentowany, nie zawiera treści wizualnej, lecz jedynie przekaz moralny. Bóg, który ukazał się temu królowi we śnie, pyta jedynie o wartości, jakie król wybrał na czas swego panowania, a usłyszawszy, że mądrość i sprawiedliwość udziela błogosławieństwa jego zamiarom. Bóg, zgodnie z tą wersją, posłużył się marzeniem sennym jako środkiem przekazu, nadał najwyższą sankcję wzmiankowanym wartościom i zachęcił do zgodnego z nimi postępowania. Jest to interesująca koncepcja panowania i kierowania władzą metodą eksponowania i sankcjonowania wartości.

Współcześni chrześcijańscy interpretatorzy prezentowanego zjawiska starają się unikać nadmiernej mitologizacji tego fenomenu i bardziej realistycznie, aczkolwiek w duchu ideowym poprzedników przedstawiają powiązania Bóg - marzenia senne.

I tak np. ks. dr Mieczysław Kożuch, w artykule pt. *Jakie jest znaczenie marzeń sennych w poznaniu siebie i formacji?*, przedstawia następującą koncepcję: marzenia senne są środkiem poznania samego siebie, są szczerymi „listami do samego siebie” (Talmud), „pomagają nam w poznaniu tego, co w nas ukryte, czego się wstydzimy, od czego uciekamy...” (www.katolik.pl). Na co dzień wyobrażamy siebie jako istotę wspaniałą, szlachetną i dobrą. Wypieramy ze świadomości złe wyobrażenia o sobie. We snach natomiast „jesteśmy zupełnie inni, agresywni, atakujący, cyniczni, uciekający i tchórzliwi, a nie odważni i konsekwentni” (tamże). Złe myśli, kompleksy poznajemy i przezwyciężamy, nie sami, bo brakuje nam siły lecz przy pomocy Boga.

Marzenie senne zgodnie z tym poglądem jest czymś w rodzaju autospowiedzi, w której ujawnia się zła, by nie powiedzieć szatańska, natura człowieka. We śnie przestaje działać mechanizm racjonalizacji, zanika fałszowanie wartości czynów i myśli, usprawiedliwianie własnych słabości i wad. Wolni od zafalszowań, przy wsparciu Boga, pniemy się ku dobremu!

Sądzę, że w tej koncepcji mamy do czynienia z wieloma uproszczeniami. Skąd ta pewność, że w marzeniach ujawniają się głównie nasze złe cechy? **Z badań eksperymentalnych wiemy, że pamiętamy treść i emocjonalność jedynie około 5% marzeń, głównie tych doznawanych tuż przed obudzeniem.** Reszta, bliżej nieznaną, ulatuje w niepamięć, bo prawdopodobnie nie była znacząca emocjonalnie, dokuczliwa. Poza tym wiele marzeń sennych ma zabarwienie przyjemne, a my występujemy w nich jako osoby wspaniałe, szlachetne, odważne, kompetentne. Potwierdzają to badania empiryczne, a także subiektywne obserwacje. **Szatańska natura czło-**

wieka nie wyzwala się pod wpływem marzeń sennych lecz jest wyrazem jego osobowości ludzi pewnego typu. Istotnie, bywają w oni w marzeniach sennych agresywnymi, tchórzliwymi, bo takimi też są w życiu codziennym.

Z czasami starożytności i ze sferą zjawisk nadprzyrodzonych kojarzą się też przekonania o profetycznych właściwościach snów. Ba! Jeszcze w XVIII wieku ogromną popularnością w całej Europie cieszyły się popularne senniki egipskie, wyjaśniające znaczenie treści marzeń dla przyszłości śniącego. Warto przywołać w tym kontekście powszechnie znaną interpretację snu o siedmiu krowach chudych i tłustych.

Przeświadczenie o proroczych snach można by skwitować sceptycznym uśmiechem gdyby nie fakt istnienia zjawiska zwanego samospełniającym się proroctwem. Wiadomo, wiara czyni cuda. Jeżeli ktoś uwierzy w „proroctwo” ze snu, to zaczyna intensywnie działać zgodnie z jego przekazem, a tym samym przyczynia się do spełnienia przepowiedzianej wizji. Mamy dzisiaj niepodważalne dowody na to, że przekonania, nawet z gruntu fałszywe, jeżeli są uznawane i aprobowane, silnie mobilizują do zgodnego z nimi działania i przez to je uwiarygodniają i realizują. Tym bardziej, jeżeli traktuje się je jako głos płynący od Boga.

### 3

**Współcześnie badacze traktują marzenia senne jako zjawisko biopsychiczne, o dość skomplikowanym charakterze. Dostrzegają w nich wpływ czynników środowiskowych (zewnętrznych), biologicznych (wrodzonych) i psychicznych, powiązanych z aktualnymi doznaniem i pragnieniami, co swego czasu silnie eksponował Z. Freud. Jednak dopiero po ujawnieniu związku pomiędzy ruchem gałek ocznych (REM), występujących w paradoksalnej fazie snu a marzeniami sennymi oraz udoskonaleniu metod badania mózgu (tomograf, skaner, rezonans magnetyczny i inne) skoncentrowano uwagę na istocie procesu marzeń sennych.**

Aktualne badania eksperymentalne i teorie wyjaśniające odrywane fakty penetrują cztery ważne dziedziny. **Po pierwsze**, próbuje się wyjaśnić biologiczną funkcję marzeń sennych. Przyroda, jak wiadomo, nie jest rozrzutną, nie wytwarza zbędnych mechanizmów. Jaką więc funkcję w organizmie pełnią marzenia senne? Przypuszcza się, że a) chronią organizm przed przeciążeniem. W czasie fazy REM spada wydzielanie dopaminy, jednej z substancji aktywizujących organizm) następuje obezwładnienie układu mięśni, a mózg działa, bo jego aktywność nie może ustać, „na jałowym biegu”. W jednym z badań budzono śpiących w każdej fazie REM. W rezultacie tego czuły się one zmęczone, nie wyspane; b) Zgodnie z teorią próbnej stymulacji marzenia senne pozorują zachowania w sytuacjach niebezpiecznych, są przygotowaniem do radzenia sobie z trudnościami w realnym świecie.

**Po drugie**, marzeniom sennym przypisuje się znaczącą rolę w procesach poznawczych I tak: a) traktuje się je (teoria syntezy aktywacji) jako akt swoistego porządkowania chaotycznych impulsów z ciała migdałowego, pojawiających się w czasie snu. Jest to szczególnie przypadek tendencji mózgu porządkowania, nadawania sensu, tak jak w opowiadaniach, chaotycznej stymulacji, płynącej ze strony obiektów świata; b) przyczyniają się one do eliminacji zbędnych informacji i przypadkowych skojarzeń. Dowodem zasadności tej tezy jest szybkie zapominanie treści marzeń sennych; c) służą selekcji danych pamięci krótko trwałej i przenoszeniu tego, co ważne do pamięci długotrwałej (teoria kontynuowanej aktywacji); d) wzmagają potencjał twórczy umysłu. W marzeniach pojawiają się niecodzienne skojarzenia, niekiedy przyczyniające się do ważnych odkryć naukowych, jak np. w znanym przypadku wykrycia struktury benzenu.

**Po trzecie**, a) sądzi się, że służą one opanowaniu dokuczliwych, bolesnych emocji. Zgodnie z tym punktem widzenia nie obrazy stanowią istotę przeżyć lecz właśnie emocje. Obrazy i zdarzenie przeżywane we śnie są jedynie ilustracją stanu emocji. Im groźniejsze sytuacje, tym silniejszych emocji doznaje śniący. A ich opanowywanie polega na symbolicznym przedstawieniu, powiązaniu z szerszym kontekstem; b) wykryto, że w fazie REM nie działają w mózgu substancje

wywołujące stres, napięcie. W konsekwencji tego, co potwierdzono eksperymentalnie, siła emocji negatywnych wyraźnie słabnie. Od wieków wiadomo, że sen jest dobrym lekarstwem na zmartwienia, teraz wiemy dlaczego tak się dzieje.

**Po czwarte**, badaczy interesuje relacja marzeń sennych i bodźców ze środowiska, działających na śpiącego. a) W jednym z eksperymentów sprawdzano tę zależność w ten sposób, że delikatnie spryskiwano wodą twarz osoby śpiącej, a po tym zabiegu budzono ją i pytano o to, czy i ewentualnie co jej się śniło.

Odpowiedzi ze sporej grupy osób badanych znacznie się różniły. Były przypadki stwierdzenia realnego stanu, tzn. osobie śniło się, że twarz została spryskana wodą, inni mówili, że śniło się im to, iż znaleźli się przy wodospadzie, inni, że kąpali się pod prysznicem, jeszcze inni, iż dach w ich pomieszczeniu przeciekał. Jakie są przyczyny tej różnorodności obrazów i odczuć? b) Nadal **obiektem zainteresowań i badań eksperymentalnych pozostaje przedstawiony przez Freuda problem niespełnionych w realnym świecie nadziei i oczekiwań. Marzenia senne, ten teatr wyobraźni, służą zaspokojeniu pragnień i potrzeb uznania, prestiżu, miłości.**

**Jaki wniosek wypływa z tych, jakże skrótowych, informacji i rozważań? Oto widzimy jak długą drogę przebyliśmy dzięki naukowcom od prostych wyobrażeń kapłanów mezopotamskich do współczesnej wiedzy o roli snu w naszym umyśle i ciele. Marzenia senne przestały być tajemniczą i groźną siłą zewnętrzną, nad którą, przynajmniej w pewnym zakresie, możemy zapanować. Stały się po prostu elementem świata ludzkiego.**

*Dokończenie ze s. 6*

## Nie krzepiące refleksje z Rybnika

**FAKTY WYDARZENIA**  
**OPINIE**

stoi sobie paskudztwo, obok zaś dziwna budka: toaleta, kasa na obole dla Charona, kiosk z napojami? Umarłemu wszystko jedno. Żywi ścierpią każde upokorzenie byle trumna z zawartością mogła chwilę postać w nawie głównej, chociaż w wielu krajach istnieje formalny zakaz wprowadzania trumien do kościołów. Przykładów mądrego, estetycznego obchodzenia się z rozpadającymi się murami, w Polsce nie brak. Otoczenie Wawelu, Planty od strony Basztowej i Podwala aż do samego Wawelu, Planty zwane „dielowskimi” czy ułomek muru naprzeciwko kościelnej bramy w Białej koło Prudnika.

O kulturze narodu świadczy jego stosunek do dzieci, starców, zwierząt i drzew. Jak to wygląda w praktyce widać na sejmowych korytarzach, gdzie koczują zrozpaczone matki niepełnosprawnych dzieci, w przerażających relacjach z domów dla seniorów, w schroniskach dla zwierząt i w polskich miastach zamienionych w kamienne pustynie. „Pamiętajcie o ogrodach” śpiewał Jan Pietrzak w słusznie minionych czasach. Dokąd pójdziemy na przechadzkę, gdy nadejdą letnie upały? Dekoracyjne kapusty, którymi otoczono n-ty pomnik Jana Pawła II cienia nie użyczą, a stare lipy rosnące przed bazyliką poszły na podpałkę.

Pozwalamy, by niszczały zabytki, nie czytamy książek ani gazet, psujemy język dopuszczając do głosu niedouczonego dziennikarza, którym nieznane są zasady stosowania akcentowanych i nieakcentowanych zaimków osobowych. W emitowanych w telewizji filmach tekst odczytywany przez lektora jest umyślnie zagłuszany przez oryginalny głos, najczęściej anglojęzyczny i w rezultacie do widza nie dociera nic prócz hałaśliwego, niezrozumiałego bełkotu.

Teraz wzięliśmy się za wycinanie drzew, jak się domyślam głównie po to, aby ułatwić życie właścicielom samochodów. „To nie kryzys, lecz upadek” – pozwalam sobie powtórzyć za profesor Szyszkowską. Cóż zrobilibyśmy bez tej Wielkiej Damy? Pozostałoby nie wychodzić z domu, żeby nie widzieć degradacji środowiska; wyłączyć telewizor, aby nie dowiadywać się o rozległej biedzie wielu współobywateli i oddać się lekturze krzepiących statystyk profesora Janusza Czapińskiego, wedle których jest bardzo dobrze i będzie jeszcze lepiej. Tylko dlaczego, według najnowszych danych, aż 83 proc. Polaków pragnie opuścić swój kraj?

**Zofia Helena HUEBNER**

---

# FORUM

## FILOZOFICZNO-LITERACKIE

---

Maria SZYSZKOWSKA

*Okiem filozofa*

### Idealy

---

Czerwcową konferencją w Nałęczowie, jak zawsze w „Ewelinie”, była w tym roku poświęcona znaczeniu ideałów. Zgromadziła przedstawicieli ponad dwudziestu miast, a w tym uczonych, pisarzy, lekarzy medycyny, malarzy, dziennikarzy, pedagogów, a nawet lekarza weterynarii. Uczestnicy wykazując istotne znaczenie ideałów w życiu jednostek i w wymiarze życia społecznego, pośrednio albo wprost krytykowali liberalizm ekonomiczny.

Skutkiem tego liberalizmu jest wywieranie przez grupy nacisku wpływu na emitowane poglądy przez media. Wadliwie kształtują one świadomość człowieka. Mianowicie, wytwarzają błędne przekonanie o śmierci ideałów oraz sugerują, że człowiek XXI wieku ma dążyć do pomnażania majątku i sukcesu. Nowoczesność stała się wątpliwą wartością, której ogół pragnie sprostać używając telefony komórkowe, kupując kuchenki mikrofalowe, czy oddając się na przykład reklamowanym zabiegom kosmetycznym,

Kultywowanie ideałów zapobiegałoby powszechnemu dziś partyjniactwu w działaniach osób rządzących i mających wpływ na nich. Kierowanie się ideałami jako drogowskazami nie dopuściłoby do wypowiedzi nagranych na słynnych taśmach. Polityk kierujący się patriotyzmem nie będzie umacniać sojuszu Polski z takim państwem, które w jego ocenie jest zawodne. Nie będzie miał dwóch twarzy, czyli powstrzyma się przed okłamywaniem społeczeństwa nawet za cenę bycia usuniętym ze stanowiska. Dosadny język nie jest czymś nagannym w rozmowach prywatnych lecz oburzające jest wprowadzanie w błąd wyborców. Człowiek honoru popełniał – i to nie jeden – w przeszłości samobójstwo, gdy został przyłapany na podwójnej grze. Dziś honor wydaje się anachroniczną wartością. Stało się tak, bowiem liczy się stanowisko i płynące stąd korzyści.

Manipulacja świadomością doprowadziła do tego, że większość społeczeństwa oczekuje na przykład na sensacyjną wiadomość kto nagrywał i dlaczego. Ale nie to ma znaczenie. Zręcznie skierowano uwagę w niewłaściwą stronę. Otóż dzięki nagraniom wiemy co politycy myślą, a więc jak dalece jesteśmy oszukiwani przez rządzącą koalicję. Przypomnę, że gdy Michnik nagrał rozmowę ze swoim przyjacielem Rywinem, to ten fakt nie obudził moralnego potępienia. Wtedy, odwrotnie niż dziś, ukierunkowano opinię publiczną na treść nagranej rozmowy. Należy więc zapytać dlaczego osoby, w dodatku nie związane węzłem przyjaźni, nie mogłyby podsłuchiwać i nagrywać? Należy przypomnieć, że Solidarność krytykując PRL zapowiadała jawne rządzenie. Nie możemy się tego doczekać przez tak wiele lat.

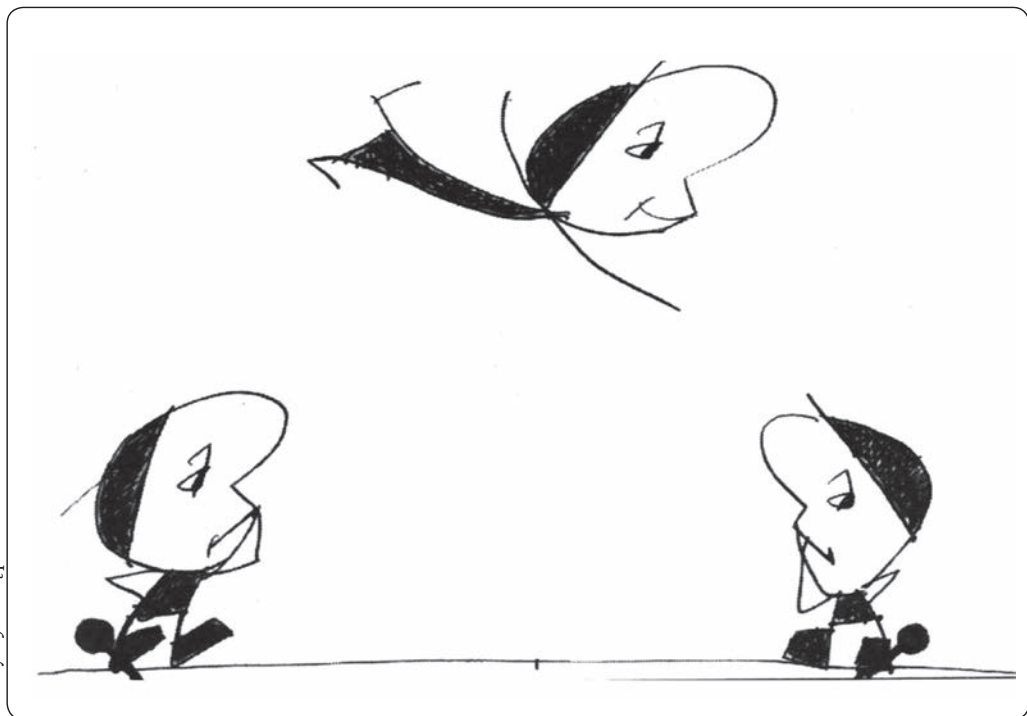


Nie zaszczerpia się w procesach edukacji wartości ideałów, bowiem z pobudek pozbawionych wzniosłości przyjęliśmy system boloński. Rynek pracy, który uznano za nadrzędną wartość regulującą całokształt życia jednostek i społeczeństwa – nie wymaga osób rozwiniętych duchowo i zdolnych do krytycznego sposobu myślenia oraz autorefleksji. Rynek pracy nie chce, by kształtować w ludziach mądrość lecz oczekuje wąskich specjalistów, których świadomością można łatwo sterować.

Biorąc to wszystko pod uwagę, kolejną konferencję w październiku, w Kuźnicy na Helu, już czternastą, postanowiłam poświęcić zagadnieniu braterstwa i pacyfizmu. A więc ideałom, które są zaprzeczeniem wprowadzonego w Polsce liberalizmu ekonomicznego. Przypadkowo konferencja ta wiąże się ze stuleciem I wojny światowej. Warto zastanowić się również dlaczego doszło do wybuchu II wojny światowej i tych dziś prowadzonych już nie w imię ideałów narodowych lecz interesów obcego kapitału. Warto zastanowić się nad chęcią udziału w zabijaniu innych ludzi. Szacowni z pozoru obywatele, często deklarujący wiarę w Boga, przewyciężają instynkt samozachowawczy, by zabijać na wojnach. Nie powstrzymują od tego nawet powszechnie oglądane w mediach filmy ukazujące śmierć, okaleczenie fizyczne oraz psychiczne w rezultacie pójścia na wojnę.

Ideał braterstwa wydaje się oczywisty, a jednak Watykan głosząc miłość bliźniego, potępiał w okresie I wojny światowej ruchy pacyfistyczne. Uznany za świętego papież Jan XXIII spowodował, że dziś Watykan nie ogłasza swojego potępienia dla nikogo, ale to nie znaczy, by pacyfizm został zaaprobowany. Zresztą o tym świętym w Polsce się milczy, mimo że został kanonizowany tego samego dnia, co polski papież.

Ideały nie są przebrzmiałe, skoro zostały wypisane na naszych sztandarach i pomnikach.



# Wyłamane drzwi wolności

Wzgórza nad miastem powitały lato potężną eksplozją zapachów, od których niektórym ludziom zakręciło się w głowie. Lipy kwitły jak oszalałe, owijając osiedla na peryferiach miodowym kokonem kanikuły. Popołudnie utknęło w przedwiecznym spokoju, gęste powietrze przyćmiło słońce nad horyzontem, skąd leniwe obłoki przyrastały powoli jak stare żółwie, lecz nic jeszcze nie zapowiadało, że wkrótce niebo zgrzytnie, a na ziemi rozpęta się piekło... No, może nieoczekiwany terkot zdezelowanego fiata, naruszający tę nieoczywistą ciszę przed burzą.

Spóźniony Przyjaciel nadjeżdżał od strony nowej autostrady. Wąską uliczką wcisnął się przed dom Profesora, zaparkował byle jak ku zgorzneniu gospodarza oczekującego gościa na schodach, a wysiadłszy, już z daleko wołał:

- Lipa! Wszystko lipa!

Profesor zerknął ku kwitnącym wzgórzom, odetchnął głębiej i przyjął rzecz po swojemu.

- Zaiste, wszystko tu jest przesiąknięte tym wspaniałym zapachem...

- Mówię o Twojej ukochanej wolności! - sprostował Przyjaciel, nie oglądając się wokół. - Świętujecie ją jak Boga, a ona umiera jak Chrystus, kurde!

- Co Cię ugryzło, Przyjacielu? - zaniepokoił się Profesor. - Czekam tu na Ciebie z lipowym miodem, jak niegdyś Pan Jan pod drzewem dobrego słowa, a Ty klniesz, jakby Cię pszczoła użądliła...

Zasiedli przy stole w ogrodzie, pszczoły, rzeczywiście, zlatywały się do miodu w kokilkach złocących się na tle szklanego dzbana z mlekiem i pajd czarnego chleba z prawdziwym masłem, więc mogło być pokojowo i pogodnie jak trzeba.

Ale nie było.

Profesor spoglądał na zmęczoną twarz Przyjaciela, zapraszał do świętojańskiej uczty i przyznał niezupełnie żartobliwie, że lipa, o której tego popołudnia chce się powiedzieć więcej, ma niemało wspólnego z wolnością.

Przyjaciel spojrział na niego spođe łba z wyraźną nieufnością. Tedy Profesor wyjaśnił (jeżeli cokolwiek dawało się wyjaśnić w tym oksymoronie, tonącym w tak rozbranej etycznie sytuacji), że chodzi mu o podmiotowość człowieka, który współtworzy z pszczelą pracowitością tyleż pasiekę w lipowym gaju, co wolną przestrzeń słowa i ruchu. Przyjaciel udał, że zrozumiał wywód Profesora, ale nawinał jego ryzykowny sens na własną oś myślenia, które wikłało mu się wśród materii rzeczy i zjawisk.

- Na autostradzie Wolności panuje polski burdel - powiedział. - Na skwerze Wolnego Słowa przed dawną Cenzurą wyprasowano jaszczurkę z poderwanym ogonem, w redakcji pisma oskarżonego o przestępstwo wyłamano drzwi „do wolności”.

- Niepokoi Cię to, że wolność nabiera cech samowoli, Przyjacielu? - zapytał Profesor.

- Niepokoi mnie to, że nasze jakby demokratyczne prawo po kumpłowsku traktuje łajdactwo - odpowiedział Przyjaciel. - Ustanawia kategorię świętych krów, którym wszystko wolno.

- Domyślam się, że chodzi Ci o prawo prasowe...

- Chodzi mi o nasze prawo, które mówi, że kto świadomie korzysta z przestępstwa innych, sam jest przestępcą. Dobrze trafiam?

Profesor ze smutkiem pokiwał głową, szukając odpowiedzi także dla siebie. Jego sumienie, które określał w sobie jako obywatelskie, nie było czyste. Szukał w zakolach prawa i moralności.

- Sprzeczność prawa jest miarą niedoskonałości człowieka - zaczął. - Nawet mądrego człowieka, którego nie stać jednak na więcej...

- Do licha, stać go zawsze na społeczną interpretację, szanowny Profesorze! - wrzucił Przyjaciel obcesowo.

- W rzeczy samej - zgodził się Profesor. - Skoro mamy w prawie interpretacje zawężające i rozszerzające...

- I mamy kruczków prawnych od groma...

- Ale i one podlegają interpretacji...

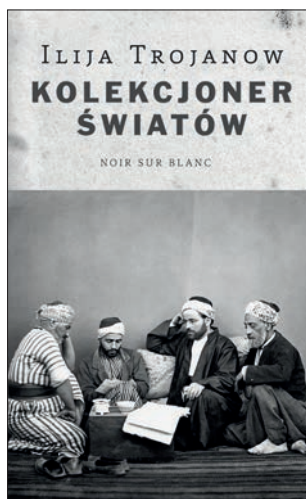
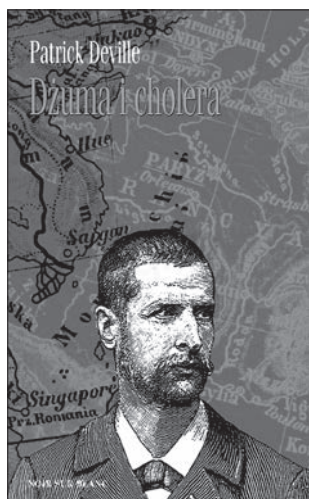
- Medialnej, gazetowej! - wykrzyknął Przyjaciel niecierpliwie. - Czwarta władza żurnalistów jak wściekła sfora rzuca się na państwo, gdy chce im przyciąć bezkarne pazury!

- Miej wzgląd, proszę, na dobro wspólne! - mitygował go Profesor.

- Dobro wspólne korporacji, co? Nawet wtedy, gdy ma brudne łapska? - Przyjaciel spojrzal na swoje ręce i uniósl je nieco. - Też są nieźle brudne po podróży - stwierdził wstając. - Nim spróbujemy miodu wolności pozwól, że je umyję...

- „Umyj ręce, umyj ręce!” - zacytował Profesor mistrza Szajnę z jego sztuki o Dantem. - Chwała filozofii czystych rąk!

Uśmiechnął się za odchodzącym, po czym otworzył gazetę, w której zabrali wrzescie głos jego mądry obywatelsko koledzy. Czytał z trudem, niebo pociemniało, zza horyzontu rozległy się groźne pomruki, ale już można było wierzyć, że się obejdzie bez burzy.



### Lektury nieobowiązkowe

## Wacław SADKOWSKI Zanim glob ziemski zmałał

Na obie te książki natrafiłem - znużony lekturami rozmyślnie zaplanowanymi - poza wszelkim rozkładem czytelniczych zajęć. Zwały mnie swą problematyką: ukazują niezwykle bogate plony zainteresowań niejako dorywczych, osiągniętych jakby na marginesie zasadniczych poszukiwań badawczych, uwieńczonych w obu ukazanych przypadkach osiągnięciami przełomowymi w dziejach nauki.

Bohater pierwszej z tych książek, Aleksander Yersin, z pochodzenia Szwajcar, bakteriolog, należał do najbliższych współpracowników Ludwika Pasteura; ludzkość zawdzięcza mu uzyskanie możliwości przezwyciężania dżumy i cholery - dwóch najgroźniejszych chorób epidemicznych w dotychczasowych dziejach ludzkości. Bohater drugiej z przeczytanych przeze mnie „ponadplanowo” książek, Richard Francis Burton, był zawodowym oficerem brytyjskiego wywiadu, szpiegiem obdarzonym genialną umiejętnością nie tylko wnikania w najtrudniejsze do

wywiadowczego „rozpracowania” środowiska etniczne, ale swoistego wcielania się w typ wrażliwości psychicznej generującej także i podświadome zachowania i odruchy ludzi w tych środowiskach urodzonych i uformowanych. Imperialny wywiad angielski dysponował dzięki niemu nieosiągalną dla nikogo z zewnątrz wiedzą o indyjskich i bliskowschodnich środowiskach muzułmańskich.

Same już te główne osiągnięcia życiowe bohaterów obu tych książek wystarczyły by po temu, by im zapewnić trwałą status społeczny oraz poczesną pozycję w życia naukowym w wypadku bakteriologa Yersina, a w wypadku Burtona – lingwisty i antropologa – także literackim (kongenialnie przełożył na angielski m.in. *Kamasutrę* oraz obejmującą szesnaście tomów kolekcję *Baśni Tysiąca i jednej nocy*). Ale żaden z nich nie spoczął na laurach, nie zadowolili się uprawianiem jednej tylko działki. Yersin zaciągał się jako lekarz pokładowy zarówno na statki transoceaniczne, kursujące między basenem Morza Śródziemnego a azjatyckimi zatokami Oceanu Indyjskiego, jak i na szkunery lokalne, żeglujące po akwenach indochińskich. Kolonialne władze francuskie zawdzięczają mu dokładne mapy najtrudniej dostępnych w początkach XX wieku ostępów ówczesnych Indochin oraz fundamentalną wiedzę o językach, obyczajowości i kulturze zamieszkujących te krainy ludów (wśród których osiadł na długie lata, z rzadka tylko odwiedzając Europę). Burtonowi za przykład posłużył Livingstone: wycofany już ze służby wywiadowczej podjął na własną odpowiedzialność niezwykle na przełomie XIX i XX wieku ryzykowną i męczącą wyprawę w głąb Afryki Wschodniej, w poszukiwaniu nierozpoznanych przez tysiąclecia źródeł Nilu. Nie powstrzymywała go przed taką ekspedycją dokładna świadomość ponoszonego ryzyka (miał już za sobą świętokradczą w istocie „pielgrzymkę” do Mekki i Medyny w przebraniu, czy też raczej w skórze mahometanina z Indii). Marzyło mu się, by i do niego, odnalezionego w najdalszej dżungli przez któregoś ze współrodaków, zwrócono się z identyfikującym zapytaniem: „Mister Burton, I presume?”

W obu książkach chodzi o sportretowanie i zanalizowanie tej samej pasji badawczej, którą żywił Humboldt, a przed nim największe i najbardziej dociekliwe umysły renesansowe: pasji przeniknięcia istoty wszystkiego, co nas otacza, a do tego niejednokrotnie osacza, wszystkiego, co pozostaje dla nas nierozpoznawalne i nie przewidywalne. Pasji, która nie daje się zamknąć w ramach jakiejś wybranej specjalności, nie daje się ograniczyć do wąskiej strefy bezpośredniego doznawania czy doświadczenia. To samoograniczenie ułatwiało oczywiście osiągnięcie mistrzostwa badawczego i niejednokrotnie umożliwiało uzyskiwanie branżowych zaszczytów. Bohaterowie obu tych książek zdobywali jednak takie uznanie niemal mimochodem – i nie zadowalali się nim. Nie chcieli godzić się z Nieznanym, Niepoznawalnym, Nieosiągalnym – porywali się na najtrudniejsze zadania odkrywcze. W świecie dzisiejszym specjalizacje osiągnęły monopol, uzasadniany tym, że ludzkość wnika coraz głębiej w ukryte pod powierzchnią zjawisk mechanizmy dotychczasowych zaskoczeń, że glob ziemski staje się coraz mniejszy wskutek kurczenia się stref trudnodostępnych lub do niedawna nieosiągalnych.

Może dlatego właśnie lektura obu tych książek, przypominających prometejskie porywy badaczy świata jeszcze nie zmaląłego, podziałał na mnie tak odświeżająco? Czy mogę zasugerować Czytelnikom odbycie za pośrednictwem tych obu książek wyprawy lekturowej w odświeżającą przeszłość?

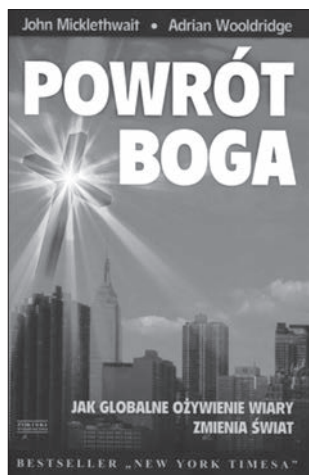
**Patrick Deville, *Dżuma & cholera*. Przeł. Jan Maria Kłoczowski. Noir sur Blanc, Warszawa 2014, s. 187, nlb. 5.**

**Ilija Trojanow, *Kolekcjoner światów*. Przeł. Ryszard Turczyn. Noir sur Blanc, Warszawa 2014, s. 483, nlb. 5.**

# WŚRÓD KSIĄŻEK

John MICKLETHWAIT  
Adrian WOOLDRIDGE

*Powrót Boga (jak globalne ożywienie wiary zmienia świat)*, Wydawnictwo ZYSK I S-KA, Poznań 2011, ss. 464, z jęz. angielskiego tłumaczyła Justyna Grzegorzczak.



## Powrót Boga?

Książka dwóch amerykańskich autorów opowiada jak religia i wierzenia parareligijne od kilku dekad w sposób powolny lecz systematyczny, poszerzają swoje pola społecznego oddziaływania. Od Rosji po USA, od Europy Środkowej po Indie i Indonezję, od Korei pd. po Amerykę Łacińską jest to widomy znak

współczesnych czasów. Społeczno-polityczne konflikty, jak np. spór o Palestynę (między Żydami a Arabami) czy między Indiami a Pakistanem (o Kaszmir) stają się konfliktami, gdzie używa się języka i retoryki zaczerpniętych z arsenaliów religijnych. Bo czym różnią się północno-amerykańscy telewangeliści (jacy zapełniają w olbrzymiej ilości amerykańską przestrzeń publiczną i medialną) od irańskich mułłów i imamów? Argumentacją, retoryką (choć nie do końca), większymi możliwościami finansowymi i technologicznymi (z racji pozycji Stanów Zjednoczonych)? Przesłanie jest jedno – **Innego**: trzeba nawrócić albo zniszczyć, albo inkulturować (jak to elegancko się nieraz ujmuje). Wszystkie religie zachowują się tak samo.

Komercjalizacja i totalne utowarowienie wszystkiego co otacza człowieka dotyczy też religii, wierzeń religijnych, sfery duchowej i mentalnej. Poszczególne religie i ich instytucjonalne fantomy doskonale funkcjonują na tym globalnym rynku – idei, pomysłów, czy człowieka, powiększając swoje konta i zasoby finansowe. To doskonale – w czasach kryzysu ekonomiczno-gospodarczego – sposób na i zarabianie pieniędzy. Książka dwóch autorów amerykańskich pokazuje to w wyrazisty sposób.

Zdaniem autorów w rzeczywistości świata XXI wieku można wyróżnić dwa centra – jakże różne formalnie, ale w istocie niewiele odbiegające od siebie (w zakresie zadań, istoty czy przedmiotu komercyjnej działalności) – religijnego biznesu. Oczywiście autorzy tak sprawy nie stawiają, ale uważny i zorientowany Czytelnik łatwo wychwyci sens oraz analogie prezentowanej tematyki. Chodzi o Stany Zjednoczone Ameryki Północnej i Arabię Saudyjską.

Ameryka jest, zdaniem autorów, przykładem gdzie nowoczesność łączy się z manifestacyjną, purytańską i dawno przebrzmiałą pobożnością. Religijność obecna manifestacyjnie w przestrzeni publicznej jest na Zachodzie Europy czymś przebrzmiałym, nienowoczesnym, symbolizującym minione czasy – z różnych względów, przede wszystkim historyczno-społecznych. Popłynęło z tych powodów wiele krwi, miało miejsce wiele dramatów i traumatycznych wydarzeń. To USA są największym sponsorem chrześcijańskiego – różnej maści i denominacji – misjonarstwa. To USA są centrum i sponsorem misji kierowanych na cały świat (zwłaszcza chodzi tu o denominacje protestanckie lub zbliżone do protestantyzmu: zielonoświątkowcy, mormoni czy Świadkowie Jehowy). To w USA religijna agitacja i handel gadżetami związanymi z wierzeniami religijnymi osiągnęły gigantyczne rozmiary i są kolosalnym sposobem do pomnażania pieniędzy. To USA w związku z rozwojem technologii i nowych środków komunikacji są głównym eksporterem i propagatorem tego typu religijności: telewizja, Internet, iPony i iPody, tablety, portale społecznościowe czy tematyczne (religijne), gigantyczne parki rozrywki o tematyce biblijnej, masowy druk Biblii.

Ubozną egzemplifikacją takiego stanu rzeczy, jest poczucie (zwłaszcza w społecznościach tradycjonalistycznych, konserwatywnych, postkolonialnych) westernizacji utożsamianej z amerykańską. Budzi to gniew, poczucie wynarodowienia i opresyjności ze strony Ameryki, co z kolei w ortodoksyjnych środowiskach islamistycznych (czy prawo-

slawnych) jest jednym z motorów napędzających antyzachodnie, anty-modernistyczne i antynowoczesne tendencje (w skrajnych przypadkach prowadzi to do terroryzmu i zamachów na symbole – bo to walka przede wszystkim w przestrzeni symboliczno-mitycznej).

Arabia Saudyjska jest w tym przypadku podobna do USA. Petrodolary dały królestwu Saudów, wyznającemu i preferującemu najjaskrawiej fundamentalistyczną wersję sunnizmu (tzw. wahhabizm) niesłychaną broń do ręki. Saudowie są głównym sponsorem islamu na świecie – właśnie o profilu fundamentalistyczno-purytańskim, w wersji politycznej zwanej islamizmem. To tu, w Mekce i Medynie oraz Dżiddzie i Rijadzie znajdują się największe drukarnie produkujące i eksportujące w świat Koran, świętą księgę islamu. Jednak w przeciwieństwie do Ameryki szerzenie islamu (a w zasadzie – islamizmu, w wersji wahhabickiej, bo do tego ten proceder się sprowadza) jest **non-profit**. To prawdziwy sponsoring, na który idzie spora część dochodów z ropy naftowej uzyskiwanych przez Rijad. Sponsorowana jest nie tylko dystrybucja Koranu, ale dofinansowuje się wszelkiego rodzaju fundacje islamiistyczne, wspomaga metresy i szkoły religijne, eksportuje do wszystkich krajów, gdzie znajdują się mniejszości muzułmańskie odpowiednio przygotowanych duchownych itd.

W tym właśnie Autorzy upatrują podobieństwo Arabii Saudyjskiej do USA, kiedy piszą o powrocie Boga (obojętnie o jakim obliczu i jakiej nazwie) do światowej narracji publicznej.

Dużą część książki zajmują rozważania nad rywalizacją między islamem a chrześcijaństwem. W brawurowy sposób Wooldridge i Micklethwait pokazują finansową stronę tej rywalizacji, formy oraz polityczne zyski, jakie pozwalają obu stronom konfliktu/rywalizacji kontynuować te zapasy. Z jednej strony chodzi o zyski finansowe, z drugiej – o idee, religijność o obrone konserwatywnie pojmowanych wartości. Religia jest przecież nośnikiem określonych idei. To uniwersalne potwierdzenie społecznej genezy każdej religii, jak również ewolucyjności wszelkich idei.

Kontrowersyjnym fragmentem książki są rozważania zestawiające plusy i minusy Biblii i Koranu (zwłaszcza w kontekście przystosowania do nowoczesności, nowoczesności kojarzonej oczywiście bezwzględnie z Ameryką, amerykańskim stylem życia i tzw. amerykanizacją). Tu widać, może niezamierzoną, ale jawną i noszącą znamiona megalomanii, elementy powodujące starcie islamu z amerykańską wersją chrześcijaństwa (religii ofensywnej, niosącej sobą cywilizację i wartości „białego człowieka”).

Autorzy wzbogacają swój tekst dużą ilością danych, m.in. na temat różnego rodzaju fundacji zajmujących się krzewieniem wierzeń religijnych zarówno w ramach chrześcijaństwa jak i islamu. Podają też niezliczoną liczbę nazwisk agresywnych fundamentalistów, telewangelistów (to w USA) czy mułłów (to w światowym islamie, a w zasadzie – hołdującym islamizmowi duchownym muzułmańskim). To głównie oni dają wyraz temu „powrotowi Boga” do przestrzeni publicznej po obu stronach barykad wiary i tradycji religijnej. Tradycji niebezpiecznej, opresyjnej, nietolerancyjnej i agresywnej w swoim wymiarze.

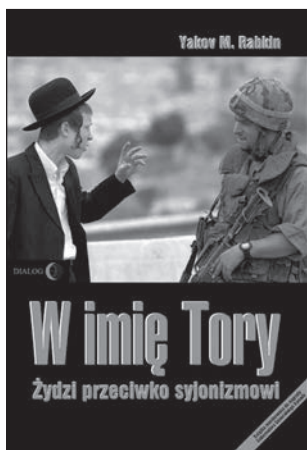
**Radosław S. CZARNECKI**

## Czy znacie rabina Rabkina?

W trakcie jednego z moich częstych przyjazdów do Polski natknąłem się w pewnej księgarni akademickiej na książkę, która natychmiast rzuciła mi się w oczy dzięki prowokacyjnemu tytułowi: „W imię Tory – Żydzi przeciwko syjonizmowi”. Jej autor jest profesorem historii w Montrealu (Quebec, Kanada) i rabinem o tendencjach ultraortodoksyjnych, wrogich izraelskiej państwowości.

Książkę swoim wstępem opatrzył były ambasador państwa Izraela w Polsce, prof. Szewach Weiss, zaznaczając że jest to „praca kompetentna i najbardziej aktualna”. Dedykacja ta wzbudziła moje zainteresowanie książką.

Rabin Rabkin napisał nawet specjalną przedmowę dla polskich czytelników. Już w pierwszym rozdziale swego Wstępu pisze, że „obawy największych myślicieli żydowskich” (nazwiska nie wymienione), jako krytyków syjonizmu (ruchu narodowego) „okazały się słuszne”. Rabkin wymienia:



- wartości judaizmu zostaną poświęcone na ołtarzu żydowskiego nacjonalizmu,
- Żydzi znajdują się w stanie niekończącego się konfliktu zbrojnego z całym światem arabskim i muzułmańskim,
- syjonizm zastąpi judaizm w umysłach wielu Żydów.

Prof. Rabkin konkluduje, że książka ta jest hołdem złożonym najważniejszym rabinom.

Książka wydaje się być ważna, szczególnie, gdy ultraortodoksyjna mniejszość izolująca się od reszty społeczeństwa, demograficznie rośnie w siłę, co udowadniają wielotysięczne masowe demonstracje tej zabiedzzonej, zamkniętej i niedouczonej grupy społecznej. Nie uczestniczą one w systemie powszechnego nauczania, a co za tym idzie nie znają one w swej większości podstaw takich „świeckich” przedmiotów jak matematyka, biologia, historia.

Rabin Rabkin odrzuca sekularyzm, odrzuca koncepcję narodowości, a tragedię uprzemysłowioną przez hitlerowców ludobójstwa uważa za „karę niebios”.

Sądzę, że książka Rabkina posiada jeszcze dodatkową zaletę. Dotychczas ta zamknięta w sobie, odizolowana od świata współczesnego ideologia skrajnego judaizmu była znana jedynie „wtajemniczonym” w radykalnych i odseparowanych dzielnicach Mea Szarim i Bnei Brak w Izraelu lub na Brooklynie w Nowym Jorku. Rabkin jako skrajny ortodoks, ale również szanowany profesor świeckiej uczelni, przedstawił ten skrajny odłam religijny w języku przystępnym dla współczesnego człowieka. Swoją książką Rabkin uświadomił nam, że XXI wiek nie wymazał średniowiecznych dziwolągów, ale wręcz utrwalił je dzięki pobłażliwości i brakowi „siatki ochronnej” w prawodawstwie, jak również w świadomości społecznej.

A jednak książka ta jest ważnym i ostrzegawczym dokumentem. Prof. Joseph Hodara, wykładawca socjologii na Uniwersytecie Bar Ilan w Izraelu pisze o niej dość dosadnie, konkretnie ustosunkowując się do koncepcji prof. Rabkina:

„Ta książka rzuca światło dzienne na kwestię żydowskiej opozycji religijnej, krytycznej wobec syjonizmu, która tak z demograficznego, jak i ideologicznego punktu widzenia stanowi najpoważniejsze zagrożenie dla Izraela jako państwa oraz jego tożsamości zbiorowej. W istocie jest ona poważniejszym i niebezpieczniejszym wyzwaniem niż arabska i palestyńska wrość”.

Profesor Hadara zna chyba wypowiedź Alberta Einsteina z wywiadu z austriackim dziennikarzem Rotemem (z roku 1955, siedem lat po powstaniu Państwa Izraela):

„(...) przed Izraelem stoją dwa główne niebezpieczeństwa: brak pokojowego rozwiązania z Arabami i ultraortodoksja żydowska”

Paradoksalnie, krytyka Rabkina pokrywa się częściowo z krytyką opozycji, która odrzuca mesjanizm religijny jako narzędzie polityczne.

Dodajmy że prof. Rabkin naturalnie odrzuca koncepcję dwóch państw (izraelskiego i palestyńskiego), co chyba koliduje z myślą polityczną prof. Weissa.

Prof. Rabkin, uważając, że Izrael jest nieszczęściem dla ultraortodoksji, domaga się państwa dwunarodowego. Jego logika, jakże podobna do koncepcji Braci Muzułmańskich, Hamasu i Hezbollahu, doprowadzi do dominacji muzułmańskich Arabów w dwunarodowym państwie. Można, z dużą dozą prawdopodobieństwa, dojść do wniosku, że według prof. Rabkina Izrael, jako państwo narodowe, zniknie by ocalić ultraortodoksyjny judaizm.

Dla czytelnika nieobeznanego ze złożoną strukturą politycznych aspektów judaizmu, książka Rabkina stanowić może doskonały materiał do zrozumienia głębi przepaści między ultraortodoksją tradycyjną a mesjanizmem religijnym opartym na spuściźnie rabina Kooka. Ten ostatni związał swój los z ekstremalną prawicą współczesnego nacjonalistycznego establishmentu izraelskiego. W przeszłości tzw. ruch rewizjonistyczny Żabotyńskiego był z gruntu świecki. Dziś prawica wyrugowała „potomków” Żabotyńskiego i w swojej walce o tzw. „Wielki Izrael” kieruje się mesjanizmem religijnym. To tłumaczy pewną zbieżność ideologii lansowanej przez Rabkina z krytyką tzw. „gołębi” wobec prawicowych rządów Netanjahu.

Ultraortodoksja żydowska, jako gmina wyznaniowa, czyli tzw. „milet” w nomenklaturze byłego imperium osmańskiego, naturalnie współżyje z muzułmańską-arabską większością, wyrzekając się państwowości jako celu. W tym kontekście słowa wstępu byłego ambasadora Izraela po prostu dziwią.

gorzej z prawicą izraelską wraz z premierem Benjaminem Netanjahu na czele. Sekretarz stanu USA (co prawda jedynie of the record) oskarżył go, że spowodował zerwanie rozmów z Mahmudem Abbasem by uniknąć na temat istnienia dwóch państw.

Książka Rabkina ostrzega, że w wyniku dalszej okupacji „Zachodniego Brzegu”, czyli terytorium, na którym ma powstać Państwo palestyńskie, ultraortodoksja niechętna izraelskiej państwowości, „stanie się listkiem figowym” muzułmańskiego nacjonalizmu, którego celem będzie rozbitcie Izraela od wewnątrz.

Jednocześnie rzecznik Departamentu Obrony Narodowej Kanady (Charless Rheame), odnosząc się do książki Rabkina, domaga się nowego spojrzenia na kwestię bliskowschodnią w celu zażegnania kryzysu. Czyżby ta uwaga była przestrożą dla premiera Netanjahu?

A może premier Netanjahu (mimo, że urodził się w Jeruzolimie) zapożyczył sobie zgubny slogan polskiej sanacji: „Nie oddamy nawet guzika od płaszcza”. Czyżby pan Netanjahu nie czytał o tragicznych konsekwencjach tej zgubnej sanacyjnej deklaracji?

Uri HUPPERT

## W CZASOPISMACH

W klimacie wielu wydarzeń ostatnich tygodni w polskim życiu, nie obojętnych dla wielu, świata niektórych mediów, nie można uznać w żadnym przypadku za outsiderów tych wydarzeń. Co więcej, jedno z tych mediów wykreowało się za ich osobliwego „bohatera”. Upublicznienie drukiem przez tygodnik „Wprost” prywatnych rozmów wielu wysokich urzędników państwowych nagranych w przestępczym procederze przez zorganizowaną grupę kelnerów prywatnych restauracji i ich mocodawców, stało się powodem gigantycznego, ponad wszelki rozsądek i umiar, zamieszania w kraju i w jego najwyższych instytucjach.

Sprawa jest na tyle znana, że nie mamy ani ochoty ani miejsca, aby na tym miejscu eks cytować się tą sprawą.

Jeśli jednak część naszych Czytelników zechce poświęcić swój czas na nieco głębsze poznanie afery podsłuchowej to warto, oczywiście, sięgnąć do komentarzy np. prof. Piotra WINCZORKA czy Marka BEYLINA i Jarosława KURSKIEGO drukowanych w „Gazecie Wyborczej” (w minionych dwóch tygodniach czerwca br.), a także do numeru 26 „Przeglądu”, a w nim komentarza redaktora naczelnego tygodnika – Jerzego DOMAŃSKIEGO oraz tekstu Roberta WALENCIAKA i opinii dr Andrzeja BARCIKOWSKIEGO czy prof. Zbigniewa SIEMIĄTKOWSKIEGO. „Každemu wolno robić głupstwa – czytamy gorzką refleksję Jerzego Domańskiego. Ale też nic nie zwalnia nas od myślenia, czy chcemy iść w takim orszaku. Mamy teraz sezon na nagrania. Telenowela z podsłuchami będzie miała swoją widownię. Dużą widownię. Ale to otwiera pole do opisu opozycji i daje szansę na odkucie się tym mediom, które już niczego nie wycisną z matki Madzi. Interes dalej więc będzie się kręcił”.

I na pewno warto ze szczególną uwagą przeczytać tekst prof. Marcina KRÓLA na temat afery podsłuchowej zamieszczony pod tytułem „Diabeł ma nas w swych objęciach” w Magazynie „Gazety Wyborczej” (numer na dni 28–29 czerwca 2014).

Kim jest ów diabeł, który nas osaczył? Jest nim wzajemna nieufność ludzi do siebie i do instytucji publicznych i którą – od pewnego czasu i w coraz większym stopniu wspiera praktyka posłuchu możliwa dzięki coraz bardziej wyrafinowanym narzędziom służącym do tego przestępczego celu. I są dziennikarze wielu mediów, którzy to przestępcze narzędzie uczynili instrumentem swojej pracy. Czytajmy Marcina Króla:

„Wiem, że nie wszystkich dziennikarzy, ale jednak dziennikarzy. Dziennikarze mianowicie próbują obalić legalne rządy demokratyczne Czynią to nie dbając o treść przekazywanych – obojętnie: legalnie czy nielegalnie – podsłuchów. Czynią to, albo nie wiedząc, kto stwarza tę szansę na manipulację, albo kłamiąc, że nie wiedzą. Uruchamiają mechanizm podejrzliwości, którą zawsze da się wzbudzić: nawet bez dostatecznych powodów – jak w naszym przypadku” (chodzi o ostatnią aferę z tygodnikiem «Wprost» w roli głównej – przyp. KSP). I dalej: „Podejrzliwość jest złem, podszeptem diabła, złem, które dewastuje wszystko... Jeśli czynią to dziennikarze to znaczy, że przegrywa demokracja, bo wkracza do niej diabeł nieufności”. Dziennikarze czynią coś jeszcze innego i niemniej groźnego: to zjawisko „znane nie tylko w Polsce – jątrzenia przez media. Polega ono na nieustannym zestawianiu sprzecznych opinii, co najczęściej prowadzi do – rzekomo interesujących sporów na oczach





widzów ... W tych sporach nie chodzi o prawdę lub o sensowny pogląd na rozważaną rzecz, lecz o sam spór jako taki. Jątrzenie jest niewątpliwie zakłóceniem informacyjnych i oświecających zadań mediów, jest w istocie porażką prawdy (czy tylko roztropności) z komercją czy oglądalnością”. Dodajmy, że czymś jeszcze bardziej groźnym – jest relatywizowaniem prawdy, a owoce tej działalności medialnej są widoczne w stanie społecznej świadomości, w zachowaniach tzw. elit politycznych. „Tak oto media – czytamy dalej – a co najmniej znaczna ich część, zamiast czwartą władzą stały się nienawistną wiejską plotką. To bardzo źle, chociaż to jeszcze nie diabeł, diabeł jedynie złe licho”.

Bo diabłem jest podsłuchiwanie i ci, którzy podsłuchują. „Kim jest ten, kto podsłuchuje? Pierwsza odpowiedź – świnia. Druga – donosicielem. Trzecia – człowiekiem podłym i pozbawionym zasad moralnych. Czwarta – szantażystą. Pierwszy przypadek zasługuje na litość, ostatni na wyeliminowanie z życia publicznego za pomocą wszystkich dostępnych legalnych metod”. Autor podkreśla, że podsłuch nie ma żadnego związku z tajemnicą dziennikarską. Bo tajemnica dziennikarska polega na tym, że ktoś mówi nam coś w tajemnicy, prosi nas o nieujawnianie źródła i nie wolno nam tego czynić. „Dziennikarz – czytamy Marcina Króla – który funkcjonuje w obrębie demokracji oraz uważa, że dobrze jest, że mamy demokrację, nie może podważać ustroju w jakim żyje i jaki ceni”.

W końcowej części tego ważnego tekstu wybitnego socjologa w debacie nad aferą podsłuchową, mowa jest o cynicznym wykorzystywaniu trujących owoców podsłuchu przez wielu polityków. Ich zachowanie w niedawnej debacie sejmowej ukazuje, że oto jesteśmy świadkami poważnego kryzysu demokracji i że – opozycja usilnie w istocie dąży do pogłębienia tego kryzysu, aby w jego atmosferze dorwać się do władzy.

Leżąc ciężka choroba mediów i groźne symptomy kryzysu demokracji w polskim życiu widoczne są w stopniu nie mniejszym we wzroście zjawisk nietolerancji o jej różnych ob-

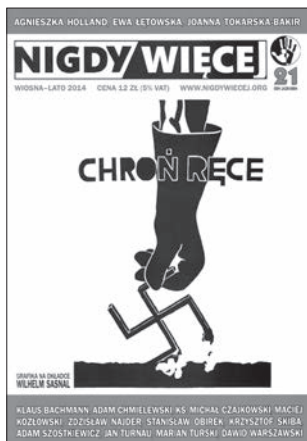
liczach: ksenofobii, antysemityzmu, nacjonalizmu, także rasizmu. Dostrzega je i dokumentuje z godnym szacunku podziwem Stowarzyszenie NIGDY WIĘCEJ i czasopismo o tej samej nazwie. Założone dwadzieścia lat temu przez zmarłego niedawno działacza ruchu – Marcina KORNAKA i jego najbliższego współpracownika – prof. Rafała PANKOWSKIGO drukowało i drukuje m.in. teksty wielu wybitnych przedstawicieli polskiej nauki i kultury, że wymienić choćby Marka Edelmana, Jerzego Giedroycia, Jana Karskiego czy Jacka Kuronia. Także w najnowszym 21 numerze czasopisma, obejmującym wiosnę i lato 2014 roku, uwagę skupiają teksty Klausa Bachmana, ks. Michała Czajkowskiego, Macieja Kozłowskiego, Stanisława Obirka, Adama Szostkiewicza czy Mariana Turskiego, które na wielu przykładach konkretnych faktów czy zjawisk ukazują zło płynące z nietolerancji. W tym, jak i w poprzednich numerach czasopisma, znajdujemy też „Katalog wypadków – BRUNATNA KSIĘGA: wybór monitoringu przestępstw popełnionych przez różne grupy polskich neofaszystów i skrajną prawicę oraz incydentów na tle rasistowskim i ksenofobicznym oraz aktów dyskryminacji na tym tle w 2013 roku.

To zupełnie unikalny, zgoła benedyktyński trud w imię szacunku dla prawdy, pokoju społecznego, godności człowieka.

Na temat tych właśnie fundamentalnych kwestii, w ich ogólniejszej projekcji, znajdziemy wiele interesujących tekstów na łamach FORUM MYŚLI WOLNEJ, bliskiego nam magazynu racjonalistów krakowskich redagowanego przez cenionego poetę i prozaika – Stanisława FRAN-CZAKA. W przypomnianym tekście Tadeusza Boya-Żeleńskiego zatytułowanym „Xenofobia” czytamy: „I oto szlachetny rys Paryża: niechęć do chamstwa, otwarte ramiona dla każdego, kto przybywa korzystać z krynicy ducha. Tkwi to w najgłębszych tradycjach tej stolicy świata”.

Kręci się łaza w oku myśląc o tamtych latach, bo dziś już innych niż wtedy. Ale warto o nich choćby dobrze pamiętać.

**Wybrał i opracował  
Ksawery S. PIWOCKI**



# PAMIĘCI ZMARŁYCH

7 czerwca 2014 roku po długiej chorobie zmarła

## profesor Barbara STANOSZ

filozof, logik, wieloletni pracownik naukowy w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego, wspaniała wykładowczyni i Mistrzyni słowa; była współtwórcą i redaktorem czasopisma **BEZ DOGMATU**; działaczką otwartych ruchów humanistycznych, niezłomną rzeczniczką neutralnej polityki państwa wobec wszystkich religii i Kościołów; Osobą wielkiej osobistej godności, wzorem wierności najwyższym standardom ideowym i moralnym.

Pozostanie na za zawsze w naszej pamięci i sercach.

Towarzystwo Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego  
Rada Krajowa  
Redakcja „RES HUMANA”

## WYRAZY WSPÓŁCZUCIA

Profesorowi Dionizemu TANALSKIEMU, długoletniemu nauczycielowi akademickiemu, zasłużonemu działaczowi polskiego humanistycznego ruchu świeckiego, członkowi zespołu „RES HUMANA” składamy wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci Jego wspaniałej Żony – Marii Magdaleny.

Prezydium Rady Krajowej  
Towarzystwa Kultury Świeckiej  
im. Tadeusza Kotarbińskiego  
Redakcja „RES HUMANA”

Pogrzeb świecki, głęboko poruszający treścią słów i ich formą zwróconą ku Osobie Zmarłej przez członków rodziny, który odbył się 2 lipca 2014 r. na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie, zgromadził wielu bliskich Zmarłej i Jej Mężowi.

W imieniu środowiska Towarzystwa i Redakcji „Res Humana” pożegnała Zmarłą sędzia w st. spocz., mgr Wacława Mielewczyk.

## Wspomnienia o Stanisławie Kryskowie

Ponad rok upłynął od czasu śmierci mojego Przyjaciela – doktora Stanisława Kryskowa – a ja nie mogę wciąż pogodzić się z Jego odejściem. Istotnie, trudno jest zaakceptować odejście bliskiej nam osoby i dlatego też nie łatwo pisać o niej w czasie przeszłym, a tym samym uznać przed sobą zaistnienie takiego okrutnego faktu.

Stanisława poznałem przed wielu laty w przypadkowy sposób. Otóż w 1974 roku spotkałem Go po raz pierwszy jako recenzent Jego pracy doktorskiej na obronie w ówczesnej Wyższej Szkole Ekonomicznej w Katowicach, czyli w obecnie istniejącym Uniwersytecie Ekonomicznym. Jego dysertację oceniłem pozytywnie i byłem z tego powodu zadowolony, że po obronie mogę tą ocenę przenieść również na Doktora. Oczywiście nie myślałem o tym, że będę mógł ja powtórzyć po 40-tu latach... we Wspomnieniach.

Trafność mojej pierwotnej oceny potwierdziły bliższe kontakty ze Stanisławem nawiązane w następnych latach, po moim przejściu do pracy w Uniwersytecie Śląskim. W czasie współpracy naukowej z dr Kryskowem, m.in. w Komisji Filozofii i Socjologii przy Oddziale PAN w Katowicach, mogłem przekonać się o tym, że jest On człowiekiem uczciwym i prawym nie tylko w swoich myślach, ale i czynach. Bowiem nie był karierowiczem i oportunistą, głoszącym wzniosłe słowa po to, aby przypodobać się ludziom, zwłaszcza sprawującym władzę, czyli typem tak niestety powszechnym wśród działaczy, jakich spotykamy często w życiu społecznym, lecz człowiekiem szczerze zaangażowanym po stronie tych, którzy próbowali urzeczywistnić sprawiedliwość społeczną, równość i tolerancję oraz idee humanizmu i racjonalizmu.

Był zatem uczciwym działaczem społeczno-kulturalnym, który – jako wieloletni Dyrektor Przedsiębiorstwa Państwowego *Dom Książki* w Katowicach – doprowadził do powstania gęstej sieci księgarni, istniejących nawet w kopalniach i hutach. Przyczynił się więc istotnie do rozwoju kultury czytelnictwa na Górnym Śląsku.

*Dokończenie III s. okł.*

## KRONIKA

Z inicjatywy środowisk feministycznych oraz koalicji stowarzyszeń ateistycznych 30 maja 2014 roku w gmachu Sejmu RP i pod patronatem wicemarszałek Wandy NOWICKIEJ, spotkało się na konferencji 25 lat w cieniu Kościoła. W hołdzie Barbarze Stanosz liczne grona działaczy wspomnianych środowisk, którzy po wielogodzinnej debacie przyjęli na jej zakończenie *Deklarację w obronie demokracji przed postępującą klerykalizacją Polski*.

Poniżej zamieszczamy obszernie fragmenty tego dokumentu, podpisanego m.in. przez Wandę Nowicką, prof. Ewę Łętowską, prof. Jana Woleńskiego, Ninę Sankari oraz kilkudziesięciu innych osób reprezentujących środowiska ludzi nauki, kultury, mediów.

Redakcja

## DEKLARACJA

### W OBRONIE DEMOKRACJI PRZED POSTĘPUJĄCĄ KLERYKALIZACJĄ POLSKI

Uczestnicy konferencji „25 lat w cieniu Kościoła. W hołdzie Barbarze Stanosz” wyrażają protest przeciwko postępującej klerykalizacji życia publicznego, która rujnuje konstytucyjnie zagwarantowaną bezstronność światopoglądową władzy państwowej i samorządowej w Polsce, prowadzi do demontażu państwa prawa i niszczy polską demokrację. Próby zaostrzenia prawa antyaborcyjnego z wprowadzeniem karalności kobiet, awantura o „gender”, państwowe obchody kanonizacji Jana Pawła II, Deklaracja wiary pracowników służby zdrowia i oświadczenia środowisk prawniczych w podobnym duchu, a zwłaszcza najnowsze ataki na wolność słowa i wyrazu w oraz decyzją władz o zdjęciu z afisza sztuki „Golgota Picnic” pod groźbą użycia siły przez agresywne grupy – to niebezpieczne działania zmierzające do wprowadzenia państwa wyznaniowego w Polsce ...

Polska „ukrzyżowana” od sali sejmowej po żłobki, od urzędów pocztowych po banki; kobiety pozbawione elementarnego prawa do decydowania o swoim ciele i losie, zmuszane do noszenia ciąży z ciężko uszkodzonym płodem i rodzenia dzieci niezdolnych do przeżycia; szkoła publiczna zamieniana w katolicką medresę, gdzie uczniowie mają więcej lekcji religii niż biologii; uczeni poddani presji ograniczania wolności badań naukowych; artyści z kneblem na ustach; lekarze nakłaniani do uznania wyższość prawa boskiego nad państwowym, prawnicy powołujący się na prawo kanoniczne; księża stojący ponad prawem i postowie modlący się o deszcz. A w tle bezimienny obywatel, który bez względu na wyznanie lub jego brak płaci za zawłaszczanie przestrzeni publicznej i ustanawianie państwa wyznaniowego przez Kościół Katolicki przy wsparciu elit politycznych korzystających na sojuszu tronu i ołtarza.

W ostatnim okresie doszło do gwałtownego nasilenia antydemokratycznych działań ze strony konserwatywnych środowisk katolickich, w tym do otwartego nawoływania przez hierarchów do nieprzestrzegania prawa państwowego oraz do popierania bojówek katolickich wymuszających przemocą fizyczną lub groźbą jej zastosowania przyjęcie rozwiązań niezgodnych ze standardami demokratycznego państwa prawa, w tym cenzury prewencyjnej. Dzieje się to przy nieadekwatnej reakcji władz centralnych i lokalnych lub ich bierności, a czasem także otwartej przychylności.

Nie kwestionujemy prawa ludzi wierzących do praktykowania religii zgodnie z dogmatami ich wiary. Sprzeciwiamy się jednak narzucaniu katolickich nakazów i zakazów całemu społeczeństwu. Protestujemy przeciwko ograniczaniu wolności w Polsce, w tym fundamentalnej wolności sumienia oraz wolności słowa i wyrazu artystycznego. Wzywamy władze rządowe i samorządowe do przestrzegania standardów demokratycznego państwa prawa, w którym żaden obywatel nie jest ani uprzywilejowany, ani dyskryminowany ze względu na wyznawaną wiarę lub jej brak i głoszone poglądy.

Domagamy się przestrzegania zasad demokracji w Polsce.

Warszawa, 30.06.2014 r.

Janusz SZTUMSKI

*Dokończenie ze s. 40*

### Wspomnienie o Stanisławie Kryśkowie

Był także działaczem Towarzystwa Kultury Świeckiej im. T. Kotarbińskiego, aktywnym nie tylko w województwie śląskim, ale i na szczeblu krajowym. Należał do tego typu ludzi, którzy w społecznej aktywności upatrywali sens swojego życia w społeczeństwie dążącym do urzeczywistnienia idei *społeczeństwa obywatelskiego*.

Uważam, że pozostanie On – nie tylko w mojej pamięci – jako przykład człowieka godnego do naśladowania, społecznego, skromnego i wiernego drogim sobie ideałom, które zachował w swojej pamięci przez całe swoje życie, dając temu wyraz nawet w ostatnich godzinach swojego życia – gdy prosił o to – aby Jego pogrzeb odbył się w ścisłym kręgu rodzinnym.

Janusz SZTUMSKI

Jacek SYSKI

*Chłodnym okiem*

## O DEMOKRACJI W POLSCE

– Czemu nie? Wszystko wygląda na to, że właśnie ona zawitała już do nas od dawna i znalazła sobie wszelkie warunki dalszego pomyślnego rozwoju. Nie dlatego, że Polska doszłusowała nagle lub powoli do bogatszych lub najbogatszych w Europie. Jest nadal raczej biednym i mocno zadłużonym jako państwo średniakiem w porównaniu do tych najsilniejszych i najbogatszych. Dlatego, że śmiało i pełnymi garściami czerpie ze światowych wzorców dochodów i powiększania dystansów społecznych. W Polsce są one już (wewnętrznie) znacznie większe niż w Europie Zachodniej.

U nas znacznie też w mniejszym stopniu niż w innych krajach Europy przestrzega się praw człowieka w sferze zatrudnienia, wynagradzania i opieki społecznej czy zdrowotnej. Mówiąc najkrócej – praw podstawowych sytuujących jednostkę w społeczeństwie.

Fakty są znane i często podnoszone, zaniedbania legislacyjne wskazywane i przypomniane.

Ale bez żadnych konsekwencji. Zdaje się, że immobilizm władzy w fundamentalnych kwestiach praw człowieka zdaje się być coraz bardziej widoczny. Mimo bowiem podpisywania wielu umów i konwencji – Polska nie przystąpiła do ponad połowy najważniejszych umów międzynarodowych służących ochronie praw człowieka nie ratyfikując ich, a to warunek, aby weszły w życie w naszym kraju. Jak twierdzą analitycy te kwestie są u nas traktowane jako służebne, podporządkowane innym celom polityki wewnętrznej, a nie jako pryncypia i samoistne wartości.

Istnieją setki sposobów opóźniania zmian i kontynuowania dotychczasowych praktyk, które, mówiąc najogólniej, pozbawiają demokrację w państwie społecznego i normatywnego charakteru, przekształcając w formalny liczman, ograniczający się w gruncie rzeczy do procesu wyborczego, poza którym zachowuje się niedemokratyczne nawyki i rozwiązania. W Polsce dotyczy to przede wszystkim obszaru pracy, która w skali nie spotykanej w Europie dotyczy tzw. umów śmieciowych.

„Umowy śmieciowe” w Polsce to przede wszystkim obszar – nazwijmy to po imieniu – wyzysku pracy, jej eksploatacji przez pracodawców, którzy w ten sposób odbijają sobie na pracownikach koszty konkurencji. Pod tym względem w Polsce istnieje absolutny dyktat pracodawców oraz ich interesów. Jeszcze do niedawna dyktatowi temu towarzyszył zbiorowy aplauz mediów znajdujących się przeciwieście także w prywatnych rękach (dokładniej w rękach prywatnych właścicieli), w których ową formę bezwzględnego wyzysku przedstawiano najczęściej jako odkrywcą i nowoczesną formułę zatrudnienia z uwagi na jej walory ekonomiczne.

Ostatnio ten chór entuzjastów jakby przycichł i przycicha. Nawet resort pracy zapowiedział potrzebę zmian i powrotu do cywilizowanych form i norm zatrudnienia.

Obszar pracy i istniejące w tej sferze patologie to nie jedyny obszar życia społecznego w Polsce, gdzie widać utrwalającą się i bezwzględną władzę pieniądza, redukującą i unicestwiająca społeczny sens i wymiar demokracji w Polsce. Pogłębiający się podział na biednych i bogatych, na tych co posiadają (pieniądze i władzę), a tymi, którzy tego nie mają, wydaje się wzrastać. I ten podział będzie się stawał coraz bardziej znaczący i ważniejszy niż fakt politycznej „równości” wyrażający się w tym, że pan X, obecny na liście 100 najbogatszych Polaków i pan Y, emeryt, który będzie wkrótce eksmitowany ze swojego (dotychczas mieszkania), bo nie stać go już na opłacenie czynszu – mogą pojawić się przed urną wyborczą.

Ala czy to rzeczywista równość?

